

NW

*clo. dubl*  
80117



Wydanie z dubletów  
Biblioteki Uniwersyteckiej  
w Toruniu

Wyp.  
Sygn. 80117

6 lin. nr 18

Biblioteka Główna ATR w Bydgoszczy



00000023610





**DZIEŁA**

**JĘDRZEJA SNIADOCKIEGO.**

**TOM VI.**

UKD:

884-7/-9:1 (438), 17/18 "Sniadecki  
Jędrzej : 329.12.13 (438) (091/093)  
**DZIEŁA**

# Jędrzeja Sniadeckiego.

WYDANIE

**MICHAŁA BALIŃSKIEGO.**

**TOM VI.**  
ANALIZY  
WYDANIE

**W WARSZAWIE,**  
NARŁADEM  
**AUGUSTA EMMANUELA GLÜCKSBERGA,**  
księgarza przy ulicy Miodowej, No 497.

**1840.**

~~Wpisano do książki inwentarzowej  
Zakładu Chemii Organicznej~~

Nr. 101/12

57788



80 W. 156/13

3/101

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### *Dokończenie wyprawy nocnej.*

Co się potem ze mną stało, nie wiem; ale gdy przyszedł do siebie, ujrzałem się w jakiejś ciasnej izdebce, otoczony nieznajomymi ludźmi, którzy się pilnie wpatrywali we mnie. Nie mogłem zgadnąć, co by to było; przypatrywałem się tylko na przemian na myśl owa część, którą mi grożono, i sądziłem, że w niej być muszę. Ale wkrótce odstąpiłem téj myśli i przeląknęłem się niemało widząc: iż niektórzy z owych nieznajomych uwijali się z długimi różnami w rękę. Wielki Boże! rzekłem pocichu z westchnieniem, czyż ja wpadłem między ludożerców, którzy mię myślą upieć na różnie? Jakimże przypadkiem mogłem się tak oddalić od mojej ojczyzny? — Jeden z przytomnych usłyszał te słowa i śmiejąc się rzekł do



kolegów. „Czy on tak pijany? czy sobie rozbił głowę i utracił zmysły? — Mospanie kto WPan jesteś? —

Na te słowa odzylem cokolwiek, słysząc iż moim mówią językiem. Podniosłem się więc, siadłem i prosiłem, żeby mi naprzód objaśnił, gdzie jestem i w jakiej części świata. „Oczywiście pijany“ rzekł do kolegów. „WPan jesteś przy rogatkach, pomiędzy strażnikami; a szedłeś tak pijany, żeś nie widział szlabana, o któryś się głową uderzył. Powiedział WPan gdzieś pił i z kim? bo tam WPanu musieli wszystko zabrać.“ Ja nie piłem nigdzie i nic mi, ile wiem, nie zabrano. „Jakże nie, kiedy my znaleźliśmy wszystkie kieszenie próżne: nawet chustki przy WPanu nie ma.“ A czegoż WPanowie, rzekłem, szukaliście po moich kieszeniach? „Jaki dziwak! odezwał się jeden; przecież my W Pana ratowali, opatrywali, trzeźwili; — myż W Pana podjęli przy szlabanie.“ Dobrze, odpowiedziałem; ależ musi szlaban być bardzo niski, kiedym on głową uderzył. Nacóż takie na biednych przechodzących zasadzki. „Niski, odpowiedział strażnik, bo tak potrzeba. Co nam tam do W Pana głowy; było iść uważnie, albo mieć latarnią. Teraz noc ciemna. Choćby W Panu podobno i latarnia nie była pomogła.“ Przepraszam! ja nie pijany. A też długie rożny na co? — „Rożny? — Temi rożnami świdrujemy, patrząc azali nie ma gdzie wódki.“ Ah! dla Boga, rzekłem ze strachem, ja, dali Bóg, wódki nie piłem. Na to powstał

śmiej powszechny, i jeden z nich rzekł: „A co? nie mówiłem, że pijany albo waryat; ani wątpię, że się wyrwał od Bonifratrów.“

Kilka jeszcze podobnych zrobiono uwag i żartów, kiedy wszczęta na dworze wrzawa wprowadziła ich wszystkich, zostawiwszy mię samego z moimi rozbitemi myślami. Przecierałem oczy, tarłem na wszystkie strony czoło, azali nie wydobędę wiadomości, co się ze mną stało i co mam dalej począć; a chcąc wytchnąć i myślom dać bieg wolniejszy, położyłem się znowu jak długi. —

Za powrotem po niejakiś czasie dwóch strażników, zaczęła się nowa rozmowa zcicha. Sądziłi snadź, widząc mię rozciągnionego na ławce, iż śpię i nic nie słyszę. Z tej rozmowy dowiedziałem się, iż złowili żyda, który beczkę wódki manowcami przewoził, a którego poprowadzono do akeyzy. „Ot! niepotrzebny upór, mówił jeden; lepiej było wziąć od żyda pieniądze i puścić.“ Nie bój się, odpowiedział drugi, musi on się i tak dobrze opłacić. „A coż nam z tego? odezwał się pierwszy. A toż kto leży?“ — Jakis pijak bez zmysłów, leż sobie rozbił o szlaban. „A coż z nim zrobicie?“ — Zobaczymy jutro rano, odpowiedział drugi. „Wiesz co? rzekł pierwszy jeszcze ciszej, oddajmy go miastu na rekruta.“ A to naco? „Ot się nam co okroi. Alboż nie wiesz, że miasto każe ludzi chwycić po noey gdzie może i jakich może. Kto go tam

zna? — jakiś włóczęga — postawić do miary.“  
 „Dobrze mówisz, poczekaj, pójdę ja pogadać o tём z Panem Józefem. — To powiedziawszy wyszedł z izby, a jego kolega położwszy się na ławce, chrapać natychmiast począł. Ostatnia propozycja strażnika, cale mi nie przypadła do gustu. Rozmaite były tego przyczyny. Naprzód albowiem, nigdy a nigdy nie czulem w sobie ducha bohaterkiego. Powtóre, gdybym go nawet i poczuł, wolałbym służyć w własnej ochoty i sam za siebie; jak być danym za kogoś i uchodzić za prostego chłopą. Przecież mój ojciec, który się tak nazywał jak ja, był szlachcicem<sup>\*)</sup> a z tём i ja nim być muszę. — Ta myśl uspokoiła mię nieco. Nic mi, myślałem sobie, nie zrobią, jużem, chwała Bogu, nie bardzo młody, a do tego szlachcic?... Wszelako!... A nuż znajdą sposoby?... Nuż na szlachectwo moje nikt uważać nie będzie?... Gdzie tam znaleźć naprędce dowody?... Można się wprawdzie potem wytłumaczyć, wywieść, wyrobić; ale tymczasem nuż łeb wygołą i zaprowadzą do koszar!... Roztropność nie każe się narażać na takie próby.. lepiej się wcześniej wycofać. —

Widząc więc, że mój dozorca mocno chrapie, wstałem nieznacznie, poprawilem szuby i

\*) Na końcu mojej podróży, zobaczy łaskawy czytelnik, jak się gładko wywiode od snopa i kądzieli. —

kapuzy i wyniosłem się pomalenku z izby. Przed domkiem nie zastałem nikogo na straży, dwóch albowiem strażników zajętych było naładowana podwoda, którą przy szlabanie zatrzymali. Jeden świdrował rożnem na wszystkie strony, dopóki nie namacał cielęcica, które nielitościwie zabeczalo. Chłop zaczął narzekać, powiadając: że i cielę skaleczone i potłuczone jaja w fasce, i że on nie wie jak się Panu pokaże. „A wiele masz jaj?“ zapytał się strażnik. „Miałem kope, ale cóż kiedyś je WPan potłukł.“ „Zapłać od kopy jaj, cielęcica, sześciu kur i indyka.“ „Czémże ja zapłacę, kiedy nie mam ani szeląga? mówił stroskany włóścianin. A potem, wszak ja to nie na targ wiozę, ale na pańską kuchnię, a ekonom mówił, że się za to nic nie należy. Oto WPan masz kartkę ekonoma.“ „Twój ekonom D...ń! schowaj sobie jego kartkę, odpowiedział strażnik; nie masz czém zapłacić, to zostaw cielę. Weź WPan cielę, Panie Ignacy! — „Naco cielę? odezwał się drugi, tak wiele się nie należy, ja wezmę indyka.— „Weź mówię cielę!“ zawołał pierwszy przeraźliwym głosem. — Ja tymczasem kontent z takiego zdarzenia, widząc iż się kłóca i mocno są zajęci wydobywaniem i sekwestrem, jeden cielęcica, a drugi indyka, ruszyłem nieznacznie ku miastu, biorąc się w bok i często oglądając, azali się czasem nie pędzą za mną.

Wchodząc do miasta posłyszałem zegary bijące godzinę czwartą. Cichosć była zupełna, noc doskonała; wypalili się albowiem wszystkie la-

tarnie. O tej więc zaledwo godzinie, rzekłem sam w sobie, można powiedzieć dobrém sumieniem, iż spi całe miasto. Nie widzę światła w żadném oknie. Ale co słyszę! — Odzywają się po rozmaitych klasztorach dzwonki, wzywające na ranne pacierze mnichy i mniszki. Więc tam już wstają. Miły Boże! jak ludzie różnią się w każdym względzie od ludzi. Jedni tylko co zasypiają, kiedy się budzą i biorą do roboty drudzy. Tyle niemal mają w sobie różności sami ludzie, ile reszta przyrodzenia całego. Są pomiędzy nimi istoty dzienne i nocne, są wodne i lądowe; są nawet nijakie, tojest takie, które mogą żyć w każdym żywiole, które śpią lub ruszają się, obumierają lub ożywiają, wtenczas tylko i tam, kiedy i gdzie potrzeba; słowem, z których co chcesz to zrobisz; które są wszystkiém, kiedy potrzeba, i, kiedy potrzeba, niczém. Kto się na taką zdobędzie nijakość, temu prawdziwie błogo na tym padole płaczu.

Ale radbym téż wiedział, jakito rodzaj ludzi nie sypia w nocy i równo ze dniem się kładzie? mówilem dalej do siebie. Wartoby to pytanie rozebrać, warto głębiej o niém pomyśleć. Ale czy tutaj? — Na ulicy tak ciemno, tak niebezpieczno, że raczej wypada myśleć: gdzieby się schronić. Szynki, bilardy, kawiarnie pozamykane; do domu daleko i niepodobna się dostać: bo pewno wszyscy śpią jak zabici. Do dnia już niedaleko. Wszystko więc rozważywszy, postanowiłem pójść tymczasem pod ratusz i resztę

nocy, na którójkolwiek ławce, rozmyślanu i uwagom filozoficznym poświęcić. Mógł Joung, sławny angielski dziwak, tłuc się w nocy pomiędzy grobami jak mara, a szukając w własnym mózgu zdań nowych, pytać się nieboszczyków co myślą; zacząłbym ja, włóczęga wileński, nie mógł zbierać po nocy dziwacznych wyobrażeń i myśli? Cóżto Anglik ma być lepszego od nas? Więc i tam skomponuję choć kawałek nocy. — W tak chwalebny autorskim zamiśle szedłem cicho i doszedłem nakoniec do mety, a wdrapawszy się pomiędzy kolumny, usiadłem.

### *Ułamek nocy z Jounga.*

Od czego tu zacząć?... Wezwij muzy, powiedzą poci. Moi Panowie! Bóg was tam wie, jaka to Jejmość ta wasza muza! — Może to jaka dumna wojewodzianka, albo księżniczka, do której mię biednego włóczęgi nie puszcza. — A potem.... jakże się udać do wysoko urodzonej damy po nocy, w szubie, kapuzie i z nosem rozbitym. Prawda, że sądząc po minie WPanów, nie musi ta dama być ani bardzo wymyślna, ani hojna: bo, jak uważam, większa część Ichmość Dobrodziejów łokciami a niekiedy i piętami świeci. Ale ja słyszałem, że muza Panów moich jest tylko słowem; w rzeczy zaś samęj udajecie się do buteleczek lub szklanek, a wódki cukrowe lub proste zastępują miejsce Kastalskich źródeł. Słyszałem że was zawsze nadyma, czyli, jak mó-



wię zwykliście, inspiruje jakąś namiętność nieczysta, a najczęściej złość i chęć ugryzienia kogoś zgrabnie czy niezgrabnie. To niepięknie, moi Panowie; i jeżeli tak jest, poprawcie się, proszę.

Lecz słuchajmy! — Jaka doskonała cichość, jak przyjemna spokojność! — ... Spokojność!.. Co za słodkie wspomnienie! — Witam cię przeto święta spokojności, córko swobody; przyjaciółko dobrej myśli; rodzicielko wewnętrznej pociechy. Jakżeś niedostępna moja Dobrodziejko! — Ja całe życie wzdycham i umizgam się do ciebie, a nigdy cię osiągnąć nie mogę. Gdzież się ukrywasz ponęto serc prawych i czystych. Zaco się tobą nigdy ucieszyć nie można? — Czy ty stronisz od ludzi?... Oj nie! podobno oni uciekają od ciebie. Szaleni!... Albo nie smakują w tobie; albo przez wielki rozum, mają cię za głupstwo, gnusność, niedołężność, i brzydzą się tobą. O gdybyś się tylko choć raz zbliżyła do mnie; już się nigdy nie rozstaniem z sobą. Całe życie cię szukam i nigdzie cię znaleźć nie mogę. Wszędzie spotykam niepokój, odwiecznego nieprzyjaciela twojego, wszędzie jego służalców wicherzycieli wszelkiego rodzaju. Rozumiałem, że lubisz noc i cichość i że cię tam gdzie napotkam; ale się zawiódłem. Szukając cię po nocy, powracam z próżnemi kieszeniami i głową rozbitą. Zli ludzie wypędzili cię zewsząd. Szkodzić sobie nawzajem, a szkodzić jak najlepiej, to jest ich cel, to ich zatrudnienie, to nauka, to rozum. Ubiegają się więc za kłopotem, udrećzeniem, żalem

i tęsknotą. Drećzą siebie lub bliźnich, od nich nawzajem drećzeni. Ty, ochłodo cierpiących, słyszysz tylko za pozór niegodziwym zamysłem. Skąpiec utrzymuje, że zbiera; ździerca, że łupi dla ciebie. Dla ciebie pieniacz pozywa, żona od męża ucieka, lub mąż żonę zamyka. Dla ciebie wymyślone turmy i łańcuchy. Słowem: tyś siącznemi sposobami spotwarzona na świecie, uciekasz i kryjesz się w głębi serc prawych. Próżno cię więc szukają ci, którzy własnego serca zgłębić nie śmieją. —

Ale stójmy!... Dość tój perory! — Oto podobno widzę okno bogacza, w którym tleje groszowa świeczka. Któżby mu teraz bronił, po dobrém użyciu swych zbiorów, zasnąć spokojnie. Nie. On zapewne czuwa i drży jak listek; bo go drećzy niespokojność. Boi się utraty zgromadzonych własnych dostatków; pragnie, trzęsie się i dyszy na wspomnienie cudzych. Może on teraz zadumany liczy, wiele mu lichwa od lichwy na rok, na kwartał, na miesiąc, na godzinę uczyni. Może sobie łamie głowę, jak swój, już i tak nieprawie nabyty majątek, zagarnieniem sąsiedzkiego rozszerzyć. — Mój Joungu, czemuż też takich Ichmościów nie prowadzał z sobą pomiędzy groby? Czemużes im tam nie prawik kazania?... Próżne życzenia!... Kogoż kiedy nawróciły morały, mowy, lub pisma żarliwe? — Cóżby korzystał bogacz między grobami? Chybaby tam upatrzył nową kryjówkę swych zbiorów.

Ale oto i drugie okno w którym widzę światło. Cóżby to było? — Może jaki adwokat gotuje arkusz na następującą sessyą sądową. Nież to będzie na przeciwną stronę czernidła, jak mało dowodów i prawdy! Może też student który poci się i gotuje na blizki egzamen; lub jaka spazmodyczna dama, zasnąć bez świecy nie może. Tak!... może to być jaka sentymentalna towarzyszka, która późno wróciła do domu, lub płacze nad przygodami bohaterów i bohaterek miłośnych. Lecz nie sądzmy płocho i złośliwie! — Może to jaka nieszczęśliwa żona lub matka, która czuwa przy łóżku dogorywającego męża, lub schorzałego dziecięcia. Być to może!... Lecz ta staroświecka cnota już wywietrzała poczęści, już teraz nie bardzo w modzie. Lepiej i zdrowiej unikać od scen tak smutnych; lepiej pojechać rozerwać się na maskaradzie lub kasynie, albo nocować u przyjaciółki...

Już też noc zbliża się do końca.. Czy będzie jej kto żałował? — Bez wątpienia. Ma i ona swoich oblubieńców; ma swoich przyjaciół. Na hasło nocy, powstają drapieżne zwierzęta, których zamachom dzienne światło nie sprzyja. Na to hasło powstają niekiedy i ludzie drapieżni, w których budzi się przemyśl, krzepi odwaga i najchytrzejsze przedsięwzięcia zajmują umysł — na nieszczęście, zazwyczaj umysł niepospolity ale skierowany na złe. Bo jużci noc nie zapala do drugiego pokoju; co drżą w ciemnościach

na szelest liścia, lub szmer najlżejszego wietrzyku; co za każdym stąpnięciem widzą upiory i strachy, albo rozbójników i złodziejów.

Budzą się też i orzeźwiają na hasło nocy i damy nasze; biorą się do gotowania co żywo; bo trzeba będzie jechać na tańczącą herbatę, kasyno lub bal maskowy. Noc ożywia niejednego młodzika, który się od matki lub domowego dozorcey na redutę ma wykraść. Słowem, noc jest pociechą wielkiej części ludzi; jest dniem i życiem całego wielkiego świata, sów, nietoperzy, literatów, puszczyków, graczy i wielu innych stworzeń. — Cóż dopiero mówić o owym bożku ze skrzydełkami złotemi, najukochańszém dziecięciu nocy. Jegoto psie figle najskrzętniej ta potężna bogini ciemnym swoim płaszczem okrywa.

Ale już słyszę wrzask kominiarza!... Jak ranny głos skowronka zwiastuje rolnikowi, pilnemu podróżnemu, lub napół drzymiącemu myśliwcowi, blizkie przyjsie kochanki Tytona; tak przeraźliwy pisk kominiarza na dachu, zapowiada w naszym mieście dzień blizki stróżom i kucharkom. Już też poczyna się jakiś ruch;... już słyszę zdaleka kiedy niekiedy skrzypnienie lub trzaśnienie drzwi;... już na poddaszach, po szynkowniach i w małych okienkach błyszcza tu i ówdzie światelka;... już na Niemieckiej ulicy kłapią patynki;... już, jak zórawie do ciepicy, przemyślne żydki nasze ciągną za bramy

i rogatki. — Jakto, ciągną? zapyta się może nie-jeden; czy oni dzień trawią za miastem? — Tak! kochanku, ciągną na polowanie; na przejęcie wiezionych lub niesionych do miasta żywności: ptastwa, zwierzyny, jaj, masła, śmietany, a niekiedy i zboża. My żyjący na bruku mieszkańcy, od nich kupujemy to wszystko. — Co za radośna, co za pocieszająca myśl! Życie nasze i zdrowie jest w ręku żydów; a co tylko na naszych zjawi się stołach, wszystko to przeszło przez czyste ich ręce. Jakże sownie opłacać się musimy kochanym Izraelitom naszym, za pozwolenie zjedzenia kuropatwy lub cietrzewia. Owszem, jeżeli je jemy niekiedy, jeżeli wiemy jaki jest smak w jarzątku albo zającu; tobie niech będą dzięki nieśmiertelny ich prawodawco, który im nie wszystko jeść pozwalasz.

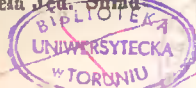
Ale już słyszę gwar ludzi gromadzących się na rynku; już się dzień coraz mocniej przebija; już się gromadzą przekupnie i przekupki; już przybывают z drzewem podwoły; już widzę zbierających się około mnie najemników z piłami i siekierami w ręku; już czas do domu. Żegnaj cię niepomyślna nocy, dałaś mi się dobrze we znaki.

## ROZDZIAŁ XXIX.

### *Pochwała świątłych ludzi i miast.*

Ktokolwiek pilnie uważa obyczaje naszego wieku, ten zgodzi się ze mną: iż się od czasów dawniejszych odznaczamy wielą przymiotami świetnymi, ale najistotniejszą skromnością. Nigdy się nie chwalamy, nie zapominamy jednak o sobie, i zawsze oddajemy sprawiedliwość własnym zasługom. — W takim rodzaju skromności szczególnie celują autorowie, którzy prócz tego zawsze z nicj słynęli. Nie można teraz otworzyć żadnej książki ani książeczki, nie można spojrzeć na żaden szpargał, doniesienie, ani afisz, gdzieby czytelnikowi nie wmawiano, iż w oświeconym żyjemy wieku.

Ja, z powołania bazgracz, a zatem i czytelnik kiedy niekiedy, tak mam tém oświeceniem nabita głowę, iż, gdzie spojrzę, wszędzie je widzę; gdzie się obrócę, spotykam; tak dalece,



iż choćby mię czasem wzięła ochota być trochę głupim, panujący duch wieku żadnym sposobem nie pozwała. Nikomu tego w tych czasach zadać, nikomu dowieść nie można. — Teraz dosyć się urodzić, żeby być mądrym; uczonymi łatwiuteńko zostajemy przez przywileje i patenta, a uczymy się jedynie dla tego, żeby zgłupieć cokolwiek. Szczęśliwy wiek! Gdzie człowiek spojrzę, same światłe głowy, aż blask bije w oczy; same rzadkie subiekta i gieniusze płodne!

Wszelako przebiegając piszących o tój niezmiernęj światłości, łatwo postrzedz można: że nie całą, tak jak słoneczna, oblewa ziemię, ale ma swoje ulubione kraje i zakątki. — Naturalnie, gdzie który autor żyje, tam kraj najoświeceniwszy. Reszta ziemi jest trochę ciemna, choć się czasem tu i ówdzie przedrze promyk światła przez powszechną pomrokę i padnie na jakąś głowę szczęśliwą. — Ale jakieżto przecie są te wielkie świeczniki? zapyta się może niejeden ciekawy. — Alboż nie widzisz, światły czytelniku, że to są miasta, a w nich... — autorowie, mówcy, poeci, literaci różnego kalibru. Same uprzywilejowane głowy!

Aż miło patrzeć, jak w miastach uczonych ludzie, którzy dostąpili pewnego stopnia światłości, zawierają urzędownie dożywotne z mądrością przymierze, czyli zaślubiają ją publicznie w oczach świata, tak, jak niegdyś doża wenecki zaślubił morze. Na tę uroczystość rozwieszają się, dla publicznej wiadomości, wielkie dru-

kowane serwety; a szczęśliwemu oblubieńcowi Minerwy wkłada się uroczystie, przy odgłosie trąb i kotłów, czarny płaszcz na grzbiet, pierścieni na palec, a na głowę czapeczka z czubkiem i czterma rogami. Pod tym znakiem, nowy małżonek przysięga, iż będzie miał rozum aż do śmierci, i bierze na to patent z ogromną pieczęcią; którąby... w każdym przypadku można niedowiarka przekonać.

Ja ile razy wyjdę na miasto, zawsze mi to powszechne oświecenie przed oczyma stoi; gdzie spojrzę, same światłe głowy! Ale że jestem z przyrodzenia jakiegoś śmieszkowego układu; często mi przychodzą myśli tak puste, że rad nierad muszę się zatrzymać na ulicy, ująć za boki i śmiać do rozpuku. Nie zawsze mi to wprawdzie płazem uchodzi, bo mię czasem idąca z szynkowni jaka dobrze zarumieniona babulka jak należy wyłaje i ucząc moralności upomina: iż się nie godzi i nie należy śmiać z ludzi. Już ci ja się znam na takim napomnieniu, i wiem: że podochocona staruszka przez ludzi siebie rozumie; bo się to i nam światłym głowom często przytrafia, kiedy o ludzkości i miłości bliźniego, albo o ludziach zasłużonych rozprawiamy. Częściej wszakże wielkie światło, jak widzę, tak mię odurza, tak émi swoim blaskiem, i tak wprawia w zły humor; że idąc z głową zwieszoną zadumany i smutny, ani postrzegę, jak połą o coś zawadzę, lub głową stuknę; albo jak mię koń biały na bakier zaprzężony popchnie.



Miły Boże! jakieto w obyczajach poprawy! — Przodkowie nasi czapki tylko nosili na bakier, a my i konie na bakier zaprzęgamy, owszem jest wielu co rozumie, że to ładnie i na ulicy niezmiernie jedna znaczenie. Dawniej z groźną idący miną, zdawał się przestrzęgać z daleka czapką na bakier: umykaj bo wybiję. Teraz świstak rozpuszczonemi na bakier końmi lecąc z szumem jak burza, wołać się zdaje: umykaj bo roztrącę. Jestto oczywisty postępек oświecenia i poloru! — a ja powiadam, że niemasz miasta oświecześniego nad nasze.

Czasem, wystąpiwszy na plac i widząc mnóstwo uwijających się na wszystkie strony ludzi, zatrzymuję się i myślę. Mój Boże! czém téż ci światli ludzie zajęci, i z czego to żyje? — Mówiono mi wprawdzie, jakoby jeden ze znakomitych gdzieś tam mędrców odpowiedział był na podobne pytanie: iż żyją oszukując jedni drugich. Ja się wszelako na to niezupelnie zgadzam; coś mi się albowiem roi po głowie, iż idąc aż do źródła, muszą być nieboracy, którzy już nie mają kogo oszukać. Tojest, mówiąc językiem naszego wieku, są bez wątpienia ludzie bardzo światli; ale są i tacy, którym Pan Bóg światła ubliżył.

Niekoniecznie ja jestem przyjacielem podziałów, ale mi się zdaje, iżby ludzi na dwie klasy rozdzielić można. Tojest na takich, którzy pracą swoją rozmnażają plody ziemskie,

i na takich, co nie rozmnażając smaczno pożywają te plody. *Fruges consumere nati.*

Ale w téj ostatniej oświeconej klasie, do której i ja mam honor należeć, wypadałoby przyjąć wiele rodzajów i gatunków, podług tego, jak w owém pożywaniu, jedni przynoszą za strawę pożyta jakąś pożyteczną pracę, a inni tylko dobre chęci i niezmysłony apetyt. Jak znowu tym, na których zwalony ciężki mazoł pożywania, pomagają w tym zawodzie rozmaici światli artyści, którym się dostają za fatyge niedojadki, okruszyny i obrzynki. — Aż strach pomyśleć, jaka to musi być rzecz pracowita i trudna pożywać; kiedy nam nieborakom, dla dokonania tego przedsięwzięcia, tyle ludzi pomagać musi. Otoż pokazuje się i z tego, że daleko jest więcej ludzi światłych, aniżeli ciemnych; a zatém, że w oświeconym żyjemy wieku!

Możnaby jeszcze w światłej klasie naszej robić wiele innych podziałów, ale się nad nimi nie zastanawiam; bo na cóż się komu zdadzą te przywidzenia. Wszakże czasem, stanąwszy na ulicy lub placu i patrząc na przesuających się przedemną ludzi, rad nierad rozbięram i myślę: do jakiejby téż kto klasy, do jakiego rodzaju lub gatunku należeć powinien? i często na tak osobliwe natrafiam wnioski, że się sam śmieję, albo dziwię oświeceniu naszego wieku. — Gdyby nas np. wszystkich mieszkańców miejskich razem uważać w masie, pytam się do jakiejby należymy klasy? Jabym, podług lichęgo zdania mego, odpowie-



dział: żeśmy wszyscy światli ludzie. *Fruget consumeremati.*

Jakto! zawoła na tę łacinę jaki erudyta, albożto miasta są stekiem próżniaków lub ludzi na nic niezdatnych? Przecież założone były przez najpierwszych w świecie ludzi; przecież są od wieków siedliskiem handlu, nauk, sztuk i rzemiosła; przecież to są wielkie ogniska, z których się światło po całych krajach, po całej ziemi rozchodzi; przecież to są szkoły poloru, pięknych obyczajów i dobrego gustu. W nich są wszelkie zakłady naukowe i dobroczynne; w nich i t. d. i t. d.

Tak!... niejedyn światły literat mógłby mnie wyłajać i z błotem mieszać; niejedynby miał piękne pole popisania się z erudycją, wymową i stylem; niejedyn, stanawszy w obronie miast, mógłby, małym kosztem, zostać wielkim człowiekiem. Prawda... ja się sam nareszcie przekonuję cokolwiek... a zatem przeproszę... Niech żyją miasta! Naprzód albowiem, co do historii ich założenia, ta, ile wiemy, często jest bardzo świetna. Czasem jakaś banda światłych i uczciwych ludzi wypędzonych z własnego kraju, uciekając przez morza i lądy, gdzieś przecie odetchnęła na pustej ziemi i założyła miasto. Czasem towarzystwo takowe nabyło tej ziemi bardzo uczciwym sposobem; jak mamy przykład na założycielach Kartaginy, którzy tyle tylko kupili pustego piasku, ile wołowa skóra objąć mogła; ale się tak obrócili gładko, jakby

żaden światły juroman nie potrafił lepić. — Rzym, który niegdyś przewodził całemu światu i był pierwszym na ziemi miastem, założyli najslusniejsi ludzie, których umyślnie po całych Włoszech zbierano. Nasi Europejczycy nowocześni popłynęli byli zakładać miasta w Ameryce, i sprawili się tam bardzo przykładnie. Dali przecie poznać ciemnym Amerykanom, co to jest w narodach oświeconych ludzkość i prawdziwa miłość bliźniego; co to jest i czego dokazać może wybór ludzi światłych, których im posłano. — Do dzisiaj dnia najoświecenijsze europejskie narody posyłają zakładać miasta i zasiewać światło po rozmaitych wyspach Oceanu Spokojnego i Południowego, a nie wymagając za tak znakomite dobrodziejstwa, każą sobie tylko przysięgać na wierność i wywożać rzeczy barbarzyńcom niepotrzebne, a ludziom światłym jakkolwiek przydatne. A tak wiek nasz, czytelniku, nie tylko jest oświecony ale i oświecający.

Nasze nawet własne miasta, azali nie są siedliskami oświaty? — Wszakże wszyscy tak nazwani i nazywający się oblubieńcy Muz, upewnijają: że tu jest ich ciągle mieszkanie, że uciekają z gór i pustych stepów, a cisną się w poświęcone sobie mury. Naturalnym rzeczą porządkiem, za niemi się cisną i wszyscy ich oblubieńcy, miłośnicy oświecenia i chwały, ludzie z profesji rozumni, amatorowie mądrości i rozmaici kandydaci do nieśmiertelnej chwały. Prze-

cieżto w miastach jest owa Arena, na której się odbywają ciągle o nieśmiertelność walki, ciągle gonitwy. Występują waleczni zapaśnicy na popis, biegną do mety, której żaden nie widzi, a każdy bieży z innym ładunkiem. Ten wlecze ogromne rodzajowe drzewo, wielki tytuł lub znakomity urząd, którego unieść nie może. Ów dźwiga ogromny wór wiatrem nadęty, na którym napisano: Zasługa. — Wszyscy wrzeszczą, żeby im ustępowano z drogi, żeby otwierano czym prędzej nieśmiertelności podwoje. Tymczasem droga zawałona motłokiem, który się przecisnąć nie może; jeden drugiego jak nierównego zapaśnika potrąca, odpycha. Ten zazajany leci z epigrammatem lub odą, ów z długą rozprawą; tamten z dedykacją lub pochwałą. Jeden wlecze tom, drugi dwa, inny pięć lub dziesięć; każdy się stara innych wyprzedzić, żaden że wyprzedzi nie wątpi. Znajdziesz na téj drodze i takich do nieśmiertelności konkurentów, co się posuwają z workiem w rękę i targują nieznacznie wędrujących tam chudych literatów. Tak czytelniku, jeżeli masz pieniądze, w mieście do nieśmiertelności nawet dostaniesz pasportu: bo tu jest światło, tu literatura, tu nauki, tu kunszta.

Jeżeli nie wierzysz, pójdź tylko i pochodź z mną po ulicach. Widzisz co tu powywieszanych znaków, co napisów, a wszystko to przypominają kunszta i nauki, wszystko dąży drogą oświecenia do nieśmiertelnej chwały. Czy uważasz, jak u nas literaci w czarnych opończach

czy togach, dźwigają po ulicach składy mądrości dawnych i terażniejszych pokoleń; jak troskliwi o oświecenie powszechne każdemu z przechodzących nie tylko ofiarują, ale gwałtem wbijają naukę. Otoż to są najpierwsi wielbiciele i oblubieńcy Muz naszych, którzy je pomalenku zaczynają brać w arendę. Tu, uważaj tylko, tego samego rodu światły i liberalny człowiek, rozparł się w drzwiach swojego sklepu na najznacniejszej ulicy, i ma do zbycia plody najodleglejszych krajów; owoce Indyj i południowej Ameryki, Chin i Japonii, które przemysł ludzki wprowadził aż do nas, a przemysł tych światłych ludzi przez komorę przemycił. Widzisz, jak ten lud oświecony pozajmował wszystkie sklepy, sklepiki i ławki, jak wszystkie ulice napelnia. Oto uważaj, jak przemysłny artysta i kupiec razem niesie przed sobą i na publiczny wystawia widok osadzoną na pięści czapkę, którą, jak świeżo wyszłe dzieło jego ręki, wszystkim przechodzącym podsuwa pod oczy i do recenzji podaje. Tam drugi czarny mędrzec rozmyśla, przechodząc się to tam to sam po ulicy z zajęczką skórką za pasem; ten powolnym i poważnym krokiem obnosi po całym mieście pieczętkę; ów papierową tabakierkę lub od zegarka łańcuszek. To są światli obywateli miast naszych; takimi obywatelami kwitną, polerują się i rosną społeczeństwa; przez takich wzrasta i rozchodzi się oświecenie. Jakże w zapełnionych tak pięknym ludem miastach nie mają kwitnąć kunszta i nauki,

jak nie ma wzrastać pożyteczny przemysł? — Jak tu nie powiedzieć, kochany czytelniku, że w oświeconym żyjemy wieku? a to są nasi światli obywatele. *Fruges consumere nati*.

Byli wprawdzie, a może i są uczeni, którzy nie lubili miast wielkich i mocno przeciw nim powstawali; którzy utrzymywali, iż patrzanie się ustawiczne na nędzę i upodlenie ostatnie, obok zbytku, pompy i rozpusty, zatwardza powoli serca na los podobnych nam jestestw. Byli i są tacy, którym się zdaje, iż w miastach jest początek wszelkiego zepsucia i szkoła obyczajów najgorszych; którzy nakoniec twierdzą, iż najszcześniejsze i najlepsze są kraje, które nie mają miast, lub mają bardzo mało. Któżby prosię u nas na takie przewidzenia uważał? — Przecież teraz w oświeconym żyjemy wieku icale inaczej sądzimy o rzeczach. Dawniej kwitły i kształciły się obyczaje w Atenach i Rzymie, tak jak się teraz kształcą i doskonalą w Paryżu i Londynie. Ateny były szkołą poloru i cnoty dla Greków, a potem nawet dla Rzymian; Rzym dla reszty świata; a Londyn i Paryż są szkołą obyczajów dla całej Europy. Jakże przeto brać za złe naszym panom i paniętom, albo damom dostojnym: że jedynie przez miłość dobrych obyczajów, przez przywiązanie do najczystszej moralności i cnoty, albo siedzą ciągle w Paryżu, albo tam jeżdżą corocznie. A zdrowie, czyto rzecz mała? — A gdzież jechać po zdrowie, jeżeli nie do miasta, jeżeli nie do Paryża?

Niezaprzeczona prawda! — Aż miło chodząc w wielkich miastach po ulicach i rynkach patrzeć na zdrowia prawdziwie wzorowe; na owe ciała najczystsze pozbawione wszelkich złych humorów; pozbawione owych cząstek ordynaryjnych, grubych, czerwonych i tłustych; na ciała przezroczyste jak kryształ, lekkie jak zefir, cienkie i chwiejące się na każdy wietrzyk jak trzcina; na ciała ledwo nie ulatujące za najmniejszym powiewem. Człek się prawdziwie zapomina z rozkoszy! w zachwyceniu sądzi, że jest w raj, między samymi duchami, lub między owymi Sylfami, o których rozumni ludzie przesłiczne rzeczy pisali, a z którymi niejedna z naszych bogiń ziemskich szczególnie miała zachowanie, lub w mistycznym była stosunku (*en rapport*). — Co mi to za zdrowie na wsi! — Same chłopy — niezgrabne i ciężkie jak kłody. Ruszyć się żaden drągal nie umie... albo drzy pod nim ziemia, gdy stąpi. Powiedzmy prawdę. Wiś tchnie dotychczas dawném barbarzyństwem i dzikością; w miastach jest oświecenie i polor. W miastach, nie tylko kwitnie przemysł, ale się utrzymują obyczaje, i góruje najczystsza moralność. Dlatego sprawiedliwie do nich ucieka, do nich się ciśnie lepsza wiejska młodzież. Tu idzie czerpać prawdziwe światło i obyczaje najczystsze w rozmaitych kancelaryach, subselliach i jurysdykcyjach; tu szuka zdrowia na redutach i redutkach, albo po bilardach, kawiarniach i cukierniach; tu idzie nabierać poloru i wiadomo-

ści na dobranych wieczorach, gdzie, mianowicie w tegoczesnej historii, bardzo wiele postąpić można. Tam albowiem młodzież usłyszy dzieje ogólne i drobne każdego domu, i każdego rodu; nota bene, z przyzwoitemi krytycznemi uwagami, stosownie do gieniuszu i światła naszego wieku.

Kogoż tak mocne dowody nie przekonają? kogo do zamilowania miasta nie pociągną? — Więc nie dziwuj się, czytelniku, żem sobie wybrał miasto za ciągłe i niezmiennie mieszkanie. Chciałem żyć wpośród moich światłych kolegów, których jest ulubionym przytułkiem. Poczemuż nie wyjeżdżać na wieś, gdzie człowieka nie czeka, prócz pracy, i to grubiej pracy? gdzie chcąc żyć jak należy, wielkich chyba dworów, zamków lub pałaców szukać potrzeba, bo się zaledwo w nich próżnuje uczciwie. — Nakoniec ja się przechodzę i poluję na filozoficzne myśli; zkądże je brać na wsi? Jest tam wprawdzie gdzie chodzić, jest co robić, ale nie ma czasu rozmyślać.

## ROZDZIAŁ XXX.

### *Wyprawa na wieś.*

Podczas ostatniej z tobą rozmowy, czytelniku kochany, starałem się pochwalić miasta jak należy, i spodziewam się wkrótce za to podziękowania od rozmaitych magistratów, synagog i cechów; albo jakiego w którym ze znakomitych miast zyskownego placu, dożywotniej pensyi, a przynajmniej pomnika. Tylko że się ja o to nie ubiegam. Poświęciwszy się oddawna filozoficznej włości, wyrzekłem się tém samym światowej próżności. — Więc mniejsza o nagrodę; zamawiam sobie tylko wolny spacer wszędzie.

Ale chwalcąc miasta i rozpamiętywając wszystkie ich zaszczyty, wzięła mię ochota zobaczyć: co się téż dzieje na wsi. Przypomniałem sobie albowiem, jak sławni pisarze nasi nie tylko opiekują oświecenie wieku, w którym żyjemy; ale



wszyscy jednogłośnie wychwalają na wsi piękność natury. Więc dobrze, rzekłem sam do siebie, muszę jeszcze choć raz w życiu przypatrzeć się pięknej naturze. A zatem trzeba się koniecznie wybrać na wieś. A że jeździć nie lubię, bo mając własne nogi nierad używam cudzych; a pieszo trudno się puścić w bardzo daleką drogę; więc wiosną wyruszywszy z miasta dosyć rano i w dzień bardzo pogodny, puściłem się ku wschodowi tak zapamiętale, że idąc a idąc uszedł wiorst kilka; co mi się już dawno nie przytrafiło. W tak ciężkiej podróży musiałem kilka razy odpocząć. Przysiadłem więc często; a jako brukowy włóczęga oglądałem się z westchnieniem na miasto. A choć go z niektórych miejsc nie można było widzieć, wszelako huk dzwonów, bicie zegarów i jakiś szmer głuchy wyraźnie pokazywał gdzie leży, a mnie strapionego cieszył w gruncie serca, że jeszcze nie zginęło. O naturo! naturo! pomyślałem sobie, ciągniesz, jak mówią, wilka do lasa, a próżniaka do miasta. Co też to był za nielitościwy i krwawy człowiek, ów ateński prawodawca *Drakon*, który za próżniactwo karę śmierci naznaczył!... Mniejsza o mnie!... możeby mię wreszcie nikt nie żałował; ależby ten szaleniec nasze miasta niemal w pień wyciął. Jakto dobrze, że ani o nim, ani o jego prawach dawno nie słyhać! — Jak ja szanuję Ateńczyków za to, że go nie lubili i jego praw cierpieć nie mogli. Przysnać potrzeba, że Ateny były całą głębią miastem! —

Tak idąc i rozmyślając postrzegłem, że jestem między dwiema ostatecznościami w pośrodku. Po prawej ręce zgiełk, po lewej największa cichość i spokojność, którą zaledwo płynącej przedemną Wileńki przerywał. Przyszło nie zaraz na myśl, że to jest podług wszystkich a wszystkich romansistów rzecz bardzo piękna. A zatem, że się tu zastanowić i rozmyślać potrzeba. A że dzień zaczynał być gorący; więc zaziąjany, musiałem przez czystą miłość romantyczności i pięknej natury, usieść pod górą na gorącym piasku; gdzie tak rozmyślać począłem: — Dalibóg tu wszystko piękne! — Przedemną mruczy spadająca po kamieniach woda; za wodą łąka, a na niej gęsi i gąsienia. Dalej gaj i w nim rozkwilający głos słowika. Szkoda, że nie jestem poetą! — Tu drab bosy i po kolana w wodzie, dybie z wędką w rękę, azali się nie uchwyci kielbik lub płoteczka. Tam znowu za górą ryczy bydło, krakają wrony, szczekają psy, kwiczą wieprze i prosięta, a beczą owce; tu zaś pod górą siedzi na piasku filozoficzny próżniak i dziwi się tej piękności natury. — Przysnaj czytelniku, że to jest zachwycający obraz! i powinienby którykolwiek znakomity malarz wziąć tę osnowę do zawieszenia na ścianie i dania materyi do długich rozpraw w naszych chudych peryodycznych pismach. —

Napasłszy się nareszcie tak pięknym widokiem, i nakarmiwszy romantycznemi myślami, przeszedłem z tą autorską strawą za rzekę i po-

słyszałem kiedy niekiedy głos chrapliwy, podobny do jęku. Przez ciekawość podszedłem bliżej i ujrzałem chłopka z sochą, który małym i chudym wolkom swoim ciągle coś prawił. Byłyto, jakem się domyślał, napomnienia i gospodarskie przepisy, ale po cudzoziemsku; ja albowiem nie tego języka nie rozumiałem. Wszelako rzecz dziwna, pomyślałem sobie, że na wsi bydło ucza zagranicznych języków; wszakto w mieście sama treść najpiękniejszego wychowania. Bez tego wielka część naszych kawalerów wytwornych niezemby była.

Niezbyt daleko od owego oracza były trzy niewiasty; które siedząc na ziemi pleły w ogrodzie, a w najgłębszém milczeniu, ledwo albowiem jedna do drugiej kiedy niekiedy parę słów przemówiła. Co za grube prostacktwo, rzekłem sobie w duszy; gdzieżbyto w mieście trzy kobiety usiadziały tak cicho! — Uważałem kiedyś w moich wędrownkach, że zagraniczne niewiasty ręczną zajęte pracą, np. robotą pończoch, nie porzucały dla tego rozmowy; owszem ją z taką popierały żywością, iż trudno było rozeznąć, czy prędszy był ruch palca, czy języka? — Z tego się pokazuje jasno, że naszym niewiastom konieczne są potrzebne guwernantki zagraniczne, jedyne nauczycielki wymowy; niech im da Bóg zdrowie! Po drugiej stronie drogi, którą szedłem, widziałem dwóch pastuszków i jedną pasterkę, pilnujących dwojgą bydła, trzech świń i kilka owiec. Dwoje z nich siedziało spokojnie na pagórku i

patrzało z uwagą na mnie, trzecie postępowało za trzodą w milczeniu. Z téj okazji, nie słysząc ani fujarek, ani śpiewów, nie mogłem sobie zaobronić myśli, że lud nasz niezmiernie jest ponury i cichy. A żem się i ja za młodu kręcił po świecie, przypomniałem sobie, że Ukraińcy i Krakowianie ustawicznie śpiewają. Nie można się tam na wsi nigdzie spotkać z pracującym w polu i ogrodach ludem, żeby nie posłyszeć wesołego i hucznego śpiewania. Ma nawet pospólstwo swoich autorów czyli wynalazców piosneczek, którzy je w karczmach układają na prędcę, czyli, jak piękny świat mówi, improwizują. — Ci występują co niedziela z talentem swoim na popis, w obecności oblubienic i całej gromady, tudzież przy pomocy rzepołów na basach i skrzypkach. U nas w Litwie, ponura cichość na polach i w lesie, cichość zupełna po wioskach, cichość nawet w karczmach; bo co jest rzecz niepojęta, u nas nie śpiewają nawet pijani. A jeżeli kiedy zaśpiewają kobiety przy żniwie lub na weselu; muzyka ta jest smutna, prawdziwie żalobna i nudnie jednostajna. Panowie właściciele i dzierżawcy! komisarze i ekonomowie! panowie sprawnicy i asesorowie niższego sądu! księża plebani i wikaryusze! panowie arendarze nakoniec! WPanowie Dobrodzieje zawsze mają do czynienia z wiejskim naszym ludem; więc musicie to lepiej wiedzieć od brukowego włóczęgi; powiedzcie mi też z łaski swojej, zaco nasz lud nie śpiewa? — WPanowie Dobrodzieje jesteście wszyscy światli

ludzie, a zatem ani wątpię, że mi kiedykolwiek odpowiecie na to pytanie. Jeżeli to należy do piękności natury wiejskiej, przyznam się W Panom Dobrodziejom, że ja tak smutnej piękności nie lubię. —

Idąc dalej, postrzegłem chłopca, który boso w odzieniu poszarpaném i brudném, ale przecie do sukni podobném, ciągnął z całej siły jakiś cień koński, a ten włókł za sobą bronę, która przeskakiwała bardzo powolnie z jednéj bryły ziemi na drugą, bynajmniej im nie szkodząc. A choć czytałem niektóre księgi o gospodarstwie, nie mogłem wszelako pojąć, na coby się zdała taka robota? Podeszedłszy więc bliżej zawolałem: Przyjacielu!)! co ty robisz? — Bronuję, odpowiedział bardzo spokojnie. — Bronujesz? mówię. Skoro tak, powiedzże mi na co się zda twoja robota? — Zatrzymał się na te słowa chłopiec, popatrzył cokolwiek na mnie, kiwnął głową i pociągnął swoją szkapinę dalej. Agronom ten, pomyślałem sobie, nie lubi rozmowy; a mianowicie nie ma, widzę, żadnej ochoty do nauczycielstwa. Wszelako!... może to być, że on

\*) Kiedy się u nas mówi do osoby nizkiego stanu, lub do sług, używa się pospolicie wyrazu *Przyjacielu!* Jabym rozumiał, że to przez *ironię*, tak jak nazywamy bankrutów Panami, albo złych ludzi Dodrodziejami. Znać że nasi przodkowie lubili żarty. —

nikogo nie uczy darmo. Słuchaj panie agronomie Dobrodzieju, zawołałem znowu: po czemu byś chciał za godzinę od lekeyi? Idź sobie W Pan precz, ja nie mam czasu, odpowiedziało grzeczne pacholę. — Parafjanin! pomyślałem sobie i poszedłem dalej. —

Idąc więc bez celu i drogi, a zastanawiając się nad piękną naturą, jaką miałem przed sobą, dziwiłem się przedziwnemu smakowi naszych pisarzy malujących piękność przyrodzenia, naszych poetów, romansistów, dam sentymentalnych i kompanii. Wtém szczekaniem psa obudzony jak ze snu, postrzegłem iż jestem przed jakąś chatką, po połowie z drzewa cokolwiek spróchniałego i z chróstu zbudowaną. Czarny kudłaty piesek cały kółtonami okryty, który szczekając biegł do mnie, i biała koza, która wpatrując się we mnie trzęsła poważnie brodą, były jedyne żyjące stworzenia, około tego mieszkania. — Zatrzymałem się i zadumałem cokolwiek, a że mi dla upału pragnienie poczęło dokuczać, postanowiłem wnieść do chaty i spytać się o mléko. Postąpiłem więc kilka kroków ku otworowi mającemu niejakiś do drzwi podobieństwo, kiedy się właśnie w tym otworze pokazał głową na przód mocno schylony i w podeszłym już wieku człowiek, który skoro się szczęśliwie z owéj cieśniny wydobył, odprostował się natychmiast i nakazał psu milczenie. Człowiek ten dosyć okopcony i brudny, miał za obuwie łapcie; a za ubiór pokojowy (to jest: szlafrok) wiszącą po kolana grubą i dosyć już



podartą koszulę. Głowa była zupełnie łysa, a około uszu wisały z obu stron dość długie kołtony naksztalt zausznic. Zapytany odemnie, czy nie ma mléka? odpowiedział, że nie; a proszony o wodę, obrócił się do chaty i zawołał: „Witko! daj tam Panu wody.“ Po niejakiem czasie wychyliła się przez otwór młoda nimfa bosa, z rozczochranemi włosami, w spodnicy, która mogła kiedyś być białą, i granatowym podartym gorsecie, a ten zdawał się spadkowym po babce lub matce, wisiął albowiem wolno aż do kolan. W rękę trzymała na długim kiju jakieś drewniane naczynie, w którym była woda, a które mi, ścierając twarz rękoma, śmiejąc się i odwracając podała. Odechciało mi się pić na widok tak pięknego naczynia i tak nadobnej Nimfy, która je wyniosła; przez grzeczność atoli wymogłem na sobie tyle odwagi, żem je do połowy wypróżnił. Podziękowałem więc za gościnność i poszedłem dalej. —

Prawda, mówiłem idąc sam do siebie, prawda że na wsi piękna natura! Wszelako to co widzę nie zgadza się z opisaniem najlepszych i najsentymentalniejszych pisarek i pisarzy. W tym np. domku samotnym, powinienem był zastać jakiego zgrzybiałego mędrca, jakiego usuniętego od zgiełku światowego filozofa, lub popadłego w niełaskę ministra, z którym siadłszy na ławie darniowej w palmowym lub topolowym cieniu, powinienem był mieć długą filozoficzną rozprawę. Niewinna zaś jego córka, cienka jak trzcina a

świeża jak róża, powinna nam była w białej jak śnieg i długiej aż do kostek sukni zastawić na prostym, ale czystym stole wytworne owoce i mléko. Nie rozumiem, co to znaczy? Musiała tutejsza natura nie przygotować się na moje przyjęcie; lub słaby mój wzrok nie dostrzega tych piękności; nieokrzesany umysł nie czuje tych uroków, jakie zachwycają delikatniejsze zmysły i dusze wyniosłe. —

Tak ubolewając nad sobą, i idąc coraz dalej przez pola i chrósty, posłyszałem nareszcie pod gajem mocny wrzask do łajania podobny. Cóż to?... pomyślałem sobie, to pewno będzie jakiś niespodziany przypadek, podobny do owych sławnych przygód, jakie spotykały wędrownych rycerzy i wiernych kochanków. Obróciłem się więc natychmiast; pobiegłem w stronę zkąd krzyk słychać było, i trafiłem w rzeczy samej na przypadek. Widziałem albowiem, jak młody jeszcze i silny człowiek w szaraczkowej kapocie i przepasany rzemieniem, zsiadłszy z konia, trzymał za włosy jakiegoś nieboraka w koszuli i harapem z niezmiernem łajaniem okładał. Stałem jak wryty, nie wiedząc co począć i patrząc co z tego będzie, kiedy nakoniec zmordowanemu Jegomości w kapocie wymknął się ów bity nieborak i pobiegł czym prędzej na łąkę wyganiać z niej parę wołów dość chudych: kapotowy zaś jeździec wciąż łajac i odgrażając się harapem, wsiadł na konia i pojechał dalej. Zbliżyłem się nareszcie do owego chłopka, który stanąwszy pod gajem



ocierał się z potu i zapytałem, za co go ten podróżny człowiek tak srogo biczował? Jegomość, odpowiedział mi, to nie podróżny; to nasz ekonom. Dobrze, mówię; ale za cóż on cię tak bił? Ot ja, prawi, wyłożyłem woły z sochy i zasnąłem, a to przekłete bydło poszło w łąkę. — To powiedziawszy zaczął wołom złorzeczyć, a potem się za niemi uganiając wciąż biczem chwastał. Miły Boże! rzekłem, co za okrucieństwo! jaka nieludzkość!... a wszystkiego przyczyną i źródłem nie oświecenie. Gdyby ci ludzie czytali romanse, a przynajmniej sielanki, przekonaliby się najłatwiej, że tłuste barany i woły, właśnie się po bujnych łąkach paść powinny swobodnie. Zaczóż im tego bronić? Takie okrucieństwo psuje tylko piękność natury i nadwęża prawa bydłące.

Wyszędłszy na pole, postrzegłem cztery sochy orzące na dość obszernym łanie i stojące nad niemi z harapem owego nielitościwego człowieka w szaraczkowej kapocie. Ten przypatrywał się tylko zdaleka i kiedy niekiedy stentorowym głosem wołał na orzących groźno potrząsając narzędziem swojej powagi. Zresztą robota szła dosyć spokojnie, a ja nie chcąc zaczepić zbrojnego urzędnika, ukloniłem mu się z daleka i poszedłem prosto do wioski; zacząłem albowiem czuć potrzebę odpoczynku i pokarmu po tak długiej wędrówce. Tu spotkałem na samym wstępie kilkoro dzieci, które biegały z gołymi głowami, bosy i w brudnych koszulach; a które, jak tylko mię zdaleka postrzegły, rozbiegły się na

wszystkie strony z wraskiem, i tak pochowały, żem żadnego więcej nie widział. Chodziłem więc po wiosce od chaty do chaty, ale się nigdzie żywej duszy dopytać nie mogłem, tak że nakoniec wpadłszy w niecierpliwość, zacząłem się do ostatniej gwałtem dobywać. Z początku nikt mi nie odpowiadał; lecz gdy nareszcie drzwi niemal wybijać zaczął, pokazała się z boku, przez podłużną dziurę sprawującą urząd okna, głowa starej kobiety, na której widok, nie wiem czy przez uszanowanie, dreszcz mi poszedł po skórze. Czego Wasze chcesz? rzekła do mnie staruszka chrapliwym głosem. Moja matko, odpowiedziałem pokornie, oto jeść chcę; czy nie ma u ciebie mleka? — A zkąd u nas mleko! odpowiedziała z podziwieniem. — To może masz chleb, lub cokolwiek do zjedzenia? zmiłuj się daj, ja ci zapłacę. Na te słowa, znikła owa twarz zaczarowana, a ja stanąłem w zadumieniu, nie wiedząc co począć. Po upłynieniu wszakże kilku minut otworzyły się drzwi, a staruszka wyniosła kawał chleba czarnego, grubego i pełnego ości; do którego przydała dwie surowe cebule. Pierwszy to był dla mnie tego rodzaju obiad, ale że apetyt był nie zmyślony, jadłem smaczno siedząc na ławie, i przekonałem się, że na wsi nie tylko jest piękna natura, ale całe niewymyślna, rozsądna i przestająca na małym. — Przy obiedzie trzeba się było napić, więc też sama gospodyni wyniosła mi znówu w drewnianym puharze na kijku jakiś napój do wina szampańskiego podobny, ale mętny,

który nazwała kwasem. Spełniłem ten puhar za jej zdrowie, zapłaciłem obiad z największą ochotą, a syt piękności natury postanowiłem wrócić prosto i czym prędzej do miasta. Nie zdążyłem wszakże. Nadchodząca albowiem chmura z szturmem i grzmotem spotkała mię w pół drogi na czystym polu i przemoczyła do nitki tak: żem zaziejany i cały przemokły, ledwo wrócił do domu.

Przyznaj czytelniku, że na wsi natura jest piękna! — Mówi za tém powaga tyłu znakomitych pisarzy, mówi powszechna opinia, gatunek sędziego, który się nigdy nie myli, i ja z doświadczenia tak mówię.

## ROZDZIAŁ XXXI.

### Moja historia,

czyli

### *Żywot Hilaryusza próżniaka-filozofa.*

Już też dość tej włóczęgi! — Postanowiłem ją, kochany czytelniku, zakończyć. Ale nim się z tobą rozstanę, muszę ci napisać historią mojego życia. A tóż naco? powie kto rozgniewany; czyś już przecie umarł? — Jeszcze nie; za co cię nieskończenie przepraszam; ale ponieważ nie wiem, czy będę pisał po śmierci, a chciałbym się przecie po autorsku rozstać z tobą, więc tego uczynić bez opowiedzenia ci mojej historii nie mogę. Trzeba ci albowiem wiedzieć, czytelniku, że jeszcze nie było celującego w jakimkolwiek rodzaju lub nadzwyczajnego człowieka (alias dziwoląga), któregoby ludzie uczeni nie opisali żywota. A to z rozmaitych przyczyn. Naprzód: Że ludzie uczeni powinni pisać. —

O to mniejsza, czy kto czyta. Powtóre: Że z tego czasem jest cokolwiek chwały, a niekiedy i kęs chleba. Potrzebie: Iż to jest niemały zaszczyt rodzaju naszego, że czasem miewa osobliwe stworzenia; choć, prawdę mówiąc, sami jesteśmy swoimi sędziami i sława ta z domu, to jest naszego plemienia, nie wychodzi. Ależ za to chwylimy się na umór jedni drugich, lub jedni przed drugimi; a te pochwały tak są chluba naszego rodzaju, jak genealogiczne papiery są zaszczytem familii. Nakoniec, że to należy do historyi, o którą nam niezmiernie idzie, a którą staramy się zawsze zrobić piękną; mianowicie na chwałę naszą i naszego narodu, a poniżenie nieprzyjaciół; bo tych nigdy nie należy żałować!

Otóż ja, mój czytelniku, będąc sławnym próżniakiem a nie wiedząc, czy kto po mojem zejściu z tego świata historją moją napisze; a nade wszystko czy ją napisze wiernie; częścią przez przychyłność i przywiązanie do ciebie, bo wiem, żeś mojego żywota ciekawy; częścią przez szczerą miłość historycznej prawdy, postanowiłem zostawić opisanie życia mego nam na chwałę, a na zbudowanie następcom. Inni wprawdzie pisarze od tego zaczynają dzieła; ale ja uważałem, iż na tém i sami nie najlepiej wychodzą i czytelnika krzywdzą. Bo ten, jak tylko kupił książkę, przeczytał ich żywot i luby portrecik zobaczył; tak zaspokoiwszy ciekawość, dalej nawet kart nie rozrzuca. Otóż ja się, mój czytelniku, na inny z tobą puściłem koncept, bo ży-

wot mój na końcu kładę, żegnając się już z tobą i odsyłając cię do innych pisarzy, a to z najszczerzszym życzeniem wytrwałego zdrowia i snu smacznego. Oprócz tego, w opisanu przypadków mojej włóczęgi starałem się wciąż rozmawiać z tobą: co zazwyczaj autorowie w przemowie tylko zachowywać zwykli, a z czego podług postrzeżeń moich wypada ta nieprzyzwoitość, że też tylko w przemowie z czytelnikiem się widzą; chociaż są śmieszni ludzie eo utrzymują, że to cale nieźle. Ażeby zaś żywot ten, ile możności, uzupełnić, postanowiłem pomieścić w nim i część historyi mego rodu, który choć się niewątpliwie od Adama poczyna i ma swoje gałęzie we wszystkich narodach; ja tak daleko sięgać nie chciałem i częścią dla krótkości, częścią przez skromność, ograniczyłem tę historją do ziemi, na której się familia moja rozkrzewiła niezmiernie i niepospolite miała znaczenie.

Jakoż nie ma i nie było nigdzie liczniejszego rodu. — Nasze drzewo genealogiczne wielkością wszystkie dęby i sosny przechodzi; jedna jego gałązka na żadnej się ścianie nie zmieści; bo czyż podobna stawiać tak olbrzymie gmachy? Dla tej przyczyny snuje mi się od dawna po głowie iżby wypadalo, przez jakąś publiczną uchwałę, najliczniejszą i najzasłużeńszą familją moją tym uświetnić sposobem, ażeby drzewo nasze rodzajowe, rozebrane na części, porozwieszać po powiatach, w każdej izbie zgromadzeń szlacheckich.

O co jak tylko będę miał czas nie zaniedbam przyzwoitego uczynić starania.

Wieść familijna niesie, że najpierwszy pień naszego drzewa, czyli pierwszy nasz założyciel nieśmiertelny, przybył do Polski z Lechem, i był jego nadwornym dziejopisem, albo raczej, jak się dziś mówi grzecznie i uczenie, historyografem. — Miły Boże! w owych nieoświeconych wiekach, nazywali go nadwornym pochlebcą albo urzędowym łgarzem. Ale też to mogła być niewinna prostota, albo i złość ludzka po prostu, pochodząca z zazdrości; bo urząd ten był bardzo ważny, zaszczytny i zyskowny. Jakoż musiał być takim; kiedy aż do czasów Bolesława Chrobrego, nigdy z naszego rodu nie wyszedł. — Ow dopiero król pokazał się familii naszej nieco męchetnym, i od tego też czasu przestaliśmy pisać historią i rzekliśmy się przywileju naszego. To też, powiedziawszy prawdę, odtąd Bóg wie po jakiemu historią pisano. Nasza zaś była autentyczna, pisana przez naocznych świadków, którzy nigdy nie kłamią; a pisana z największą dokładnością, jak zawsze o tém poprzednicy moi panów swoich upewniali. Dlatego też historią ta była powszechnie lubiona, i przechodziła z ust do ust; a że do nas na piśmie nie doszła, jest to oczewiście wina późniejszych wieków, które ją straciły. Jest ona gdzieś w naszym domu, jak niosą dzieje familijne, i jakem sam nie raz słyszał o tém; dlatego dziady i pradziady moje, zawsze się wybierały tych dziejów

poszukać, ale dla rozmaitych przyczyn nigdy do tego nie przyszło.

To także pewna, że w początkach narodu, za barbarzyńskich czasów, familia nasza nie była liczna; a gdy się potem, mianowicie za czasów elekcyjnych, znacznie rozkrzewiła, niepodobna było wiedzieć, komu się rozmaite nasze własności prawem spadkowym podostawały; bo nie było głowy, któraby myślą mogła objąć całe nasze rodzeństwo. — Dlaczego później, straciwszy już wszelki rachunek, poznawaliśmy się jedynie po niektórych znakach zewnętrznych, tak: jak naturalisci poznają rozmaite chwasty, robactwo, gadziny i zwierzątka różne a różne. Ja do dziś dnia każdego mojego krewnego, za pierwszym spotkaniem się poznam, choć się nie zawsze do familii przyznaje. Dla gminnych albowiem przesądów, największa część odstępiała od wiecznego naszego imienia, owszem i wypiera się godła rozmaitych światowych względów. Czego ja przez sumienie nigdy nie uczynię, i jestem przekonany najmocniej, iż nie ma piękniejszego i dawniejszego domu nad nasz dom próżniaków. Ci, co nas ogadują, są najczęściej znakomitymi członkami naszego rodu, ale paplać zwykli, albo przez chytrość i udawanie się za coś lepszego (jak gdyby co lepszego być mogło), albo pochlebając jakim znakomitym osobom, które w samęj istocie do naszego rodu nie należą. To pewna, czytelniku, że ile razy mi przyjdzie spotkać ja-



kie białe, okrągłe i pulchniutkie ciało; lub jaką osobkę sążnistą, karczystą i jak ryc czerwoną, zaraz się uśmiechnąć muszę. Bo się odzywa natura; bo człek czuje zdaleka, i nawet mimowolnie kocha własną krew swoją, choćby téż i niewdzięczną. Przy tém, jak to pospolicie bywa, mamy i naszę familijną fizyognomią i skład całego ciała. Mamy nawet nasze własne choroby dziedziczne. Jeszcze nikt z nas, dzięki Bogu, na suchoty albo na konsumpcyą nie umarł; ale chorujemy zazwyczaj na zbytke humorów, niestrawność, różne dolegliwości żołądkowe i podagrę, która rzadko kogo w naszym rodzeństwie opuści.

Ja, kochany czytelniku, nie powiem ci w którym województwie i w którym się urodziłem powiecie; bo to do czasu zataić muszę. Dość powiedzieć, żem się urodził w majątku moim dziedzicznym *Spoczynkowie*. Mój ojciec był naprzód podsędkiem w swoim powiecie; ale z czasem, dla znakomitych w obywatelstwie zasług, został podstolim wendeńskim, a pod koniec życia i szambelanem Dworu. — Ja zaś w pierwszej zaraz młodości, gdy mię oddano do szkół, wystąpiłem na świat z tytułem szambelanica. — Zaszczyt ten, razem z tłustemi gęsiami i półgęskami, młodem masłem i dubeltową kminkówką, którą matka moja nieboszczka z własnej apteczki opatrywała JX. profesora, były powodem do szczególnych dla mnie w szkołach dystynkcyj i względów. JX. professor, człowiek bardzo

uczony i poważny, zawsze mię za ręce wprowadzał do szkoły i sadzał blisko siebie, żeby mię miał ciągle na oku. A ja pod tak znakomitą opieką, najczęściej drzymałem bezpiecznie. Nie wolno było nikomu wyzwać mię de loco, albo de plagis; bo to ubliżało godności szambelanica; ale ja otrzymywałem niekiedy pozwolenie, dać dla uciechy rozciągnionemu na pieńku winowajcy pięć lub dziesięć. Takowy zaszczyt, był znakiem szczególnój łaski i uradowania JX. profesora; a spotykał mię wkrótce po nadesłaniu dubeltówki. Naówczas ucieszony nauczyciel, patrząc na tę eksekucyą uśmiechał się tylko łaskawie, i chwalił niekiedy moję zręczność i przytomność umysłu.

Tak odbywałem nauki z honorem, pociechą i znacznym pożytkiem. Zdarzyło się wszakże raz, że gdy dla niewiadomych zatrudnień matki mojej JX. professor długi czas nie orzeźwiającego nie otrzymał, a przeto wpadł w atrabilarny humor; a ja, puszczając podług zwyczaju przyczkiem pestki od wisien na kolegów moich, nieszczęśliwym wyrokiem losu, JX. profesora w sam nos ugodziłem; takim szanowny nauczyciel zapalił się gniewem, iż nietykanego dotąd JPana szambelanica na ławce rozciągnąć kazał, i własną mu ręką pięć bardzo zamaszysto i dotkliwie wyliczył. Co tak wielkie na umyśle moim zrobiło wrażenie, iż tego samego wieczoru, wymknąwszy się ze stancyi, pieszo aż do Spoczynkowa umknąłem. Szła wprawdzie za mną po-

goń; ale ja uchodząc od niebezpieczeństwa, a miłością sławy zagrzany, stanąłem w domu godziną pierwej. Nie zaraz się atoli pokazałem, nie wiedząc, jakie ta emigracya zrobi na umysłach wrażenie, i czekając rozwiązania mego losu w konopkach tuż pod domem, zasilany i uwiadamiy o zachodzących w Spoczynkowskim gabinecie poruszeniach, przez szafarza Jakóba, z którym się skommunikowałem potajemnie. Ten jako przeczorny dworak, wcześniej się starał skarbić łaski panicza; ile że ojciec mój nieboszczyk, pan szambelan, ciężko już naówczas skolatany podagrą z łózka nie wstawał, a podstarzałym węgrzynem resztę niksących sił z biedą pokrzepiał. — Skoro się nieboszczka matka moja dowiedziała o mojem nieszczęściu (tak je albowiem nazywała), nie przestała wyrzucać W. szambelanowi, ojcu mojemu, jego okrucienstwa i nieuwagi, że mię w tak okrutne, w tak katowskie oddał ręce; a to, dla nauczzenia mię trochę łaciny, która się nikomu na nic nie zda, z narażeniem na wyraźne niebezpieczeństwo zdrowia i życia. — „Bo Bóg wie, co się teraz z biędnym dzieckiem stało, może się z rozpaczcy utopił.“ Są własne słowa nieboszczki matki, które tak rozrzewniły ś. p. szambelana ojca mego, iż ani postrzegł, jak kilka łez uronił. — Co gdy obecna tej rozmowie sąsiadka, W. Piwniczyna, co do słowa z naciskiem i przekazem powtórzyć raczyła, dodając dla ozdoby niektóre stosowne powieści, zawsze się nieszczęśliwie

kończące, o jakie u W. Piwniczynj Dobrodziejki cale nie było trudno; stanęło postanowienie na domowej radzie, aby mię, aż do dalszego postanowienia, jak najprędzej ze szkół odebrać. Co skoro przez usłuznego szafarza Jakuba doszło do wiadomości mej; opuściłem natychmiast konopie i stanąłem w obliczu mamy Dobrodziejki, która się z radości w czułych uniesieniach swoich uspokoić nie mogła, i która mię natychmiast stawiła w obliczu ojca, przekonywając go naocznie, jakim nieslychanie zmizerniał i z łaski jego zdrowie zupełnie utracił. Miałem zaś naówczas lat dwanaście skończonych i, kończąc już chwalębnie infimę, miałem niezawodnie postąpić do drugiej klasy.

Nazajutrz w przytomności JX. kanonika, naszego plebana i kilku sąsiadów, na usilne naleganie matki mej i W. Piwniczynj, ojciec mój, jak zazwyczaj, zgodził się na ich żądania. JX. kanonik podjął się znaleźć dla mnie gubernera, a ja zostałem, dla dokończenia edukacyi, w domu. — Miał zaś nieboszczyk ojciec mój rozmaite ważne do tego powody, iż zazwyczaj szedł za zdaniem W. szambelanowej, swojej małżonki. *Naprzód*, że W. szambelanowa tak zawsze mocno, dobitnie, wymownie i dopóty popierała zdanie swoje, ani na jotę w niczem od raz powziętego przedsięwzięcia nie odstępując, a ciągle dzień i noc o tém rozprawiając; iż W. szambelan z natury spokojnego umysłu, wszelkiem

sporum i dysputom przeciwny, a odpoczynek najdrożej ceniący, pospolicie nakoniec zezwalał na wszystko, aby tylko mógł zasnąć lub zjeść spokojnie. *Powtóre*, iż matka moja, nigdy mu w niczem nie ustępując, a przy oporze wpadając w ciężkie maciczne cierpienia, zawsze stałością umysłu i tęgością przedsięwzięcia doprowadziła rzeczy do tego, że jej nakoniec trzeba było ustąpić. *Nakoniec*, że i wysokie jej urodzenie wymagało pewnych względów. Była albowiem matka moja z domu starościanką Gnuśnicką, a zatem z jedną z najznakomitszych familij. A choć nie wniosła w dom nasz żadnego posagu; ale nas urodzeniem swoim nie poniżyła, na co w całym naszym rodzeństwie największą mieliśmy zawsze uwagę. Nie chwając się albowiem pilnowali wszyscy poprzednicy moi najskrupulatniej, ażeby nigdy żaden artysta, kupiec, lub jakimkolwiek rodzajem towarzyskiej pracy poniżony człowiek, do domu i krwi naszej nie należał, nie tylko w linii męskiej ale i żeńskiej. Tym sposobem będąc zawsze szlachetnego rodu, nie tylko od miecza ale i kądzieli, mieliśmy zupełną zdolność i otwarty wstęp do wszystkich kapituł krajowych, i zawsześmy przed innymi brali pierwszeństwo, zajmując nie tylko kanonije i beneficia zyskowniejsze, ale i pierwsze w kraju prelatury. Co nawzajem do utrzymania możności i godności rodu naszego znacznie dopomagało.

Oprócz tego liczne w całym kraju pokrewieństwo, dom rozrodzony niezmiernie, poczyna-

nione przez zameżcia i inne sposoby najobszerniejsze związki, służyły nam do zajmowania znakomitszych w całym kraju placów; któreśmy piastowali bardzo dostojnie, a sprawowali przez sekretarzy dobieranych z familij niższych i nie spokrewnionych z nami. Tym sposobem patrzaliśmy na wszystkie starostwa, jako na familijną własność naszą; a jeżeli się które dostało do innego domu, nie przedstawiliśmy się nigdy skarżyć i w głos narzekać na niesprawiedliwość i uchybienie należytych zasłuzde względów. To wszystko służyło matce mojej za oczewiste w oczach ojca dowody, iż się bez nauki obejdę, i że nie do pracy ale do wyższych stworzony byłem rzeczy. A w reszcie gdyby mię i to wszystko minęło, sam Spoczynków, który wystarczał na przystojne utrzymanie rodziców moich, mógłby wystarczyć po najdłuższym ich życiu i dla mnie. Masz albowiem wiedzieć, czytelniku kochany, iż się urodziłem jedynakiem. Miałem ja wprawdzie i mam trzy siostry, które bardzo przepraszam, że się urodził; musiałem im albowiem odebrać trzy części ojcowskiego majątku, ponieważ tak chciało statutowe prawo. Gdyby nie to, Spoczynków wyszedłby był z naszego domu, cały kraj cierpiałby w tym niezmiernie, a ja bym nie był czem jestem. Ta przezorna ustawa sprzyja utrzymaniu wyższości naszego domu, lubo nie tyle ile majoraty, zaprowadzone po najoświecieńszych w Europie narodach. Dom



nasz zawsze wdychał do tego, i na wielu sejmach zawsześmy obstawali za powszechném zaprowadzeniem majoratów po całym kraju; ale brak oświecenia zawsze przyjęciu téj ustawy był na przeszkodzie.

## ROZDZIAŁ XXXII.

### *Dokończenie mojej historyi.*

Skoro więc zaszła zgoda na kończenie educacyi w domu; JX. kanonik wystarał się dla mnie o nauczyciela, który do Spoczynkowa zjechał. — Był to człowiek bardzo łagodnego humoru, niezmiernie skromny i cichy. Miał lat około trzydziestu: rumiany i pulchny; oczy miał jaskrawe, cokolwiek na wierzch wysadzone, wejście żywe ale bardzo skromne; tuszę piękną; wargi pełne, okrągłe i często otwarte; twarz bardzo przyjemną i zawsze ozdobioną lekkim uśmiechem; nos we środku wklęsły a na końcu pękaty. Wzrostu był raczej niskiego, ale któremu okrągłość całej postawy wiele dodawała ozdoby. Chodził w sutannie dłuższej aż do ziemi; apetyt zawsze miał dobry, ale nadewszystko sen smaczny, w którym się kochał niezmiernie. Jadaliśmy w Spoczynkowie wieczną o godzinie szó-



stój, a o pół do ósmej regularnie udawaliśmy się z X. professorem na spoczynek, i takeśmy odpoczywali do ósmej ranej. Wstawanie, ubieranie się, pacierze i śniadanie zajmowały nam cały poranek. Co do nauki, X. professor (takeśmy go bowiem w Spoczynkowie nazywali) spuszczał się po większej części na mój gust i moje ochotę. Leżały na stole porozkładane rozmaite książki i mapy, któreśmy bardzo oszczędzali. — X. professor naznaczał mi czasem małe lekcye na pamięć, np. pięć lub sześć wokabuł, a w tłumaczeniach bardzo był ostrożny i, gdzie tylko zachodziła jaka wątpliwość, zawsze polegał na mojem zdaniu; tak, że pomagając sobie we wszystkiem nawzajem, byliśmy właściwie najpięrszymi wynalazcami wzajemnego sposobu uczenia czy nieuczenia się, co później Anglik jakiś niesprawiedliwie za swój wynalazek ogłosił. — Tak się pięknie układałem w domu aż do lat 16stu, kiedy ojciec mój, z powszechnym żalem przyjaciół, nagle życia dokonał; a matka, dawno już chorująca na koltun, upadać także na siłach poczęła. — Ja nie mając jeszcze lat 18stu, a zatem ani sposobności rządzenia Spoczynkowem i siostrami, zostałem, naturalnym rzeczy porządkiem, pod opieką stryja, Pantaleona Torpeta Próżniaka, podczaszyca pilźnińskiego. Ten atoli znakomity mąż, znacznie był od nas oddalony. Gdy go albowiem dziad mój, a ojciec jego, za młodu jeszcze wysłał na krótki czas do majątku swego, Drzymopola na

Ukrainie; stryj mój od lat czterdziestu przeszedł zawsze się wybierał powrócić, ale aż do śmierci wybrać się nie mógł. — Takto, kochany czytelniku, życie ludzkie jest krótkie! — Ojciec wprawdzie mój nieboszczyk, codziennie się go spodziewał i razy kilkadziesiąt konie na najbliższą pocztową stacyą posyłał, które tam po kilka i kilkanaście niedziel czekały, ale cóż było robić, kiedy zawsze zaszła jakaś do wyjazdu przeszkoda.

Po śmierci więc ojca mego ułożyliśmy z X. professorem list do kochanego stryja; co nam niemało kosztowało pracy i mozołu, ale który za to dziwnie był piękny. Dowiedliśmy naprzód w nim z Cycerona, Seneki i innych starożytnych autorów, iż człowiek jest śmiertelny; co się nam przedziwnie udało; a z czego wzięszy assumpt, pokazaliśmy mu nieznacznie, że podobną rzeczy koleją i ojciec mój musiał ustąpić z tego świata, a skończyliśmy zaproszeniem go do Spoczynkowa, dla zajęcia się moją opieką. W półtora roku odebrałem odpowiedź stryja, który nie mogąc się sam wybrać dla rozmaitych zatrudnień, kazał mi do siebie przyjechać, i zalecił, ażebym natychmiast sobie i siostrom sprawił żałobę; ażeby dla siostr wziąć guvernantkę francuzkę, a ułatwienie interesów odłożyć do jego przyjazdu. Po naradzeniu się więc z mamą Dobrodziejką, stanęło na tém, ażeby stosownie do woli stryja, naprzód przyjąć gu-

wernantkę, a potem wybrać się z X. professorem na Ukrainę.

Mama moja miała oddawna poufałą przyjaciółkę w Warszawie, JPanią starościnię, która się tam od dwóch lat kurowała na kryspacye nerwów, i do której natychmiast napisała o madame. Tej siostry moje oczekiwały ze strachem, a ja z wielką ciekawością. Po długim więc oczekiwaniu, odebraliśmy nakoniec grzeczne zalecenie, ażeby posłać po nią karetę, jeżeli się podane do kontraktu warunki podobać będą. Te zaś były następujące: 1) Ażeby madame miała przy pannach osobny dla siebie apartament. 2) Ażeby miała lokaja jedynie do jej usług przeznaczonogo, to jest: któryby u stołu stał cały czas za nią, i któryby nosił liberyą jaką ona naznaczy. 3) Ażeby miała, ile razy zechce, czterokonny pojazd na spacer z furmanem i forysiem. 4) Ażeby jej panna służąca od niej tylko zawisała i miała przyzwoite wygody. 5) Ażeby jej piesek *Joli*, miał wszelką wygodę, a u stołu, aby zawsze stawiano dla niego krzeselko obok madamy. 6) Aby panny miały metrów do wszystkich lekcyj; madame zaś da im tylko polor, i dobrej *turniury* pilnować będzie. Do tego założyła sobie 200 Czer. zł. pensyi; a co do prezentów, spuszcza się na delikatność pani szambellanowej. — Przeżegnaliśmy się wszyscy, skoro takie przeczytano warunki, a w matce mojej nieboszczce tak się zburzyły wszystkie humory, iż rozumieliśmy, że to ciężką przyplaci chorobą.

Skoro zaś odzyskała mowę i przytomność, żalonym wykrzyknęła głosem: „A mnież na co to utrapienie w domu! Wszakto dla takiej Pani i Spoczynkowa mało! — Jedź Wpan zaraz do stryja i powiedz, że on chce mojej śmierci!“ — Zaczęłam więc odtąd doprawdy myśleć o wyjeździe, zamówiwszy sobie X. profesora za towarzysza podróży. A ponieważ stryj chciał guwernantki, zatem postanowiono wziąć tymczasem do Spoczynkowa JPannę rotmistrzównę, siostrę W. piwnicznój, która była na dewocyi przy pewnym niedalekim klasztorze i bardzo miała być zacna i światła osoba.

W drodze wiele widziałem kraju, ale nie pamiętam com w nim widział. Popasałem zawsze i nocowałem w karczmie u żydów. Po dwutygodniowej wreszcie podróży, przybyłem do stryja, który mi się mocno przypatrywał; a potem obróciwszy się do JW. szambelana, *kuzyna* i przyjaciela swego, i do W. regientowój kuzynki rzekł: „Łepski chłopiec, kontent jestem z niego. Nu mój Hilarku! rozłokuj się: — przecie tu z nami zabawisz. Pani regientowa, zmiłuj się, ulokuj tego chłopca.“ Jakoż Pani regientowa natychmiast wyszła i urządziła wszystko, po czém nastąpiła wieczerza.

Stryj mój nieboszczyk, był obywatel wielkich talentów i wielkiej zasługi. Chodził pospolicie w szlafroku, złotych pantoflach i czerwonej krymce, i ledwo czasem w niedzielę, za wielkiem na-

leganiem W. rotmistrzowej, dał przewieść na sobie, że włożył frak lub surdut i to tylko na obiad. Mało mówił, mając zawsze usta zajęte lulką, której nigdy z rąk nie wypuszczał, a którą lokaj Mateusz często odmieniał, pilnując, aby natychmiast podać drugą, skoro Pan pierwszą wypali; i dla tej usługi stał w pokoju pod drzwiami od rana do wieczora. Rzadko też stryj mój dla otyłości i pobrzękłych nóg wstawał z kanapy, ale siedząc grał pospolicie z JW. szambelanem lub kuzynką w kalabraka lub arcaby, a niekiedy i w szachy; którą grę doskonale posiadał i nie miał równego sobie w tamtych stronach. Gdy poczta przywiozła gazety, czytał je wieczorem JW. szambelan lub kuzynka; a potem na mnie włożono ten ciężar. Naówczas stryj jeżeli nie zasnął, czynił polityczne swoje postrzeżenia i uwagi. JW. szambelan był zazwyczaj innego zdania, uśmiechał się lub kiwał głową, ale się stryjowi nie sprzeciwiał. —

Był zaś JW. szambelan bliskim naszym krewnym, a bratem W. rotmistrzowej. Za młodu bawił w Warszawie i dostał order, z którym się nigdy nie rozstawał. Miał wielkie wiadomości: nie było albowiem rzeczy którejby nie znał, ale nadewszystko miał niezgłębioną genealogiczną znajomość wszystkich a wszystkich naszych familij. Nie można było żadnego wspomnieć imienia, żeby natychmiast nie zatrzymał na tym punkcie uwagi słuchaczów; nie wyliczył wiele jest członków wspomnianej familii; czém który jest;

kogo ma za żonę i z kogo się rodzi; a to, bez najmniejszego zastanowienia się lub zająknięcia. Wiedział oprócz tego imiona i zasługi wszystkich kucharzy warszawskich; w jakim który był domu i jakim się sosem lub przysmaczkiem odznaczał. Mógł mówić półtory godziny o samej sztuce mięsa na rozmaitych stołach i w różnych narodach; wiedział ze szczegółami historią hultajskiego bigosu, którą bardzo opowiadać lubił. U stołu mógł natychmiast dać doskonały rozbiór każdej potrawy i wyliczyć, jak wiele ulega odmianom w rękę rozmaitych artystów. Z resztą był JW. szambelan bardzo skrupulatny w etykiecie, o której nigdy nie zapominał. Nie przychodził do stryja inaczej jak zupełnie ubrany; mówił bardzo płynnie i mówić lubił, ale nigdy nikomu głosu nie przerywał i nie zabierał.

W. rotmistrzowa mało się mieszała do rozmowy i zawsze polegała na gruntownym zdaniu JW. szambelana, brata swojego. Dla znakomitej otyłości, mało się zajmowała gospodarstwem sama przez się, ale się spuszczała zupełnie na małą swoją wychowanekę Józję. Klucze atoli zawsze leżały przy niej, a mała Józja ustawicznie je to odnosiła, to brała. W. rotmistrzowa zaś, należała do klasy owych uczonych jestestw, które zawsze dochodzą przyszłości; a przeto siedząc za stolikiem, ciągle rozkładała to jedną talią kart, to drugą, czytając z ich położenia terazniejsze i przyszłe losy pokoleń, tudzież najskrytsze myśli ludzkie. W tym układzie uważałem: iż dama



czerwienna zwracała największą jej uwagę na siebie, i często bardzo uwiadamała nas wszystkich o pomysłnych jej losach, lub niefortunnęj wróżbie.

Kto nie był w domu nieboszczyka stryja mego, nie może mieć wyobrażenia, co to jest słodka jednostajność życia. — Codzienn to samo. Stryj mój na kanapie, w szlafroku i z lulką w gębie, zajęty grą kalabraka, szachów lub arca-bów, i zawsze zamysłony. Nasz kuzyn szambelan, ciągly towarzysz gry, rozprawiający z wielką powagą i namysłem o jakiejś wielkiej familii lub pieczeniu. Kuzynka siedząca na boku przy stole i ciągnąca kabałę. Stary Mateusz w wytartym granatowym surducie, oparty o drzwi i drzymiący lub nakładający lulkę; a mała Józia ustawicznie się zastająca z kluczami lub roznosząca na wszystkie strony rozkazy. Ja, czasem czytałem głośno gazety, czasem się przypatrywałem grze lub ciągnięciu kabały, a częściej wychodziłem na spacer sam, lub z X. profesorem, który do nas na obiad tylko i wieczera przychodził, a wreszcie cały dzień drzymał nad literaturą i naukami we własnym pokoju.

Ależ ten Wacpana profesor, odezwwała się raz kuzynka do mnie, jest człowiek niezmiernie uczony; wszakże się on nad książkami zabije. Zmiluj się Panie Hilary, nie ucz się tak jak on, bo zdrowie stracisz. — Taka nauka, rzekł szambelan, na nic się w naszym stanie nie przyda; ale Panu Hilaremu potrzebny jest, dla dokończenia

edukacyi, wojaż. „Co mówisz braciszku? . . . . Prawda, i ja to myślę, i już moja kabała kilka razy wróżyła Hilaremu daleką podróż. Tak! . . . oto i teraz . . . ale jak wielka podróż! — Dali-bóg pojedziesz do Paryża. Ale co mówię, do Paryża! nierównie dalej. — A tu! . . . patrzaj . . . to są pieniądze. Tak; na wojaż potrzeba pieniędzy. Kuzynku! pomysłno o tém, żeby nasz Hilarek miał za cò jechać do Paryża.“ — Na to mój stryj uśmiechnął się tylko.

Że z przyrodzenia miałem jakąś skłonność do włóczęgi, więc projekt jechania do Paryża bardzo mi przypadł do smaku; a widząc, że mój stryj nic o tém nie mówi, prosiłem często kuzynki, ażeby mi wróżyła, kiedy pojedę za granicę, i zawsze odbierałem przychylną od mojej Sybilli odpowiedź. Stryj, który to bardzo uważał, odezwał się raz do szambelana, iż widzi wemnie wielki gust do nauk i wielką ciekawość. — Tak, rzekł szambelan, trzeba go wysłać na wojaż, niech pozna świat. — Już ja dawno o tém myślę, odpowiedział kochany stryjasek. Na to oświadczenie nie posiadałem się z radości. —

Drzymopol, rezydencya kochanego stryja Dobrodzieja, tak był szanowany od sąsiadów, iż nigdy nikt w nim nie postął. Zdziwiłem się więc nie mało, gdy pewnej niedzieli zajechał do nas W. sędzia N., jeden z odleglejszych sąsiadów; pół dnia zabawił, i często brał na konferencyą stryja do drugiego pokoju. Nazajutrz,

stryj przywołałszy mnie rano do siebie, rzekł: Moj Hilarku! skończyłeś już edukacją domową, chcę żebyś pojechał za granicę, bo tak robią wszyscy kawalerowie dobrze urodzeni. Musiałem wprawdzie zaciągnąć na twoje imię dług u W. sędziego; ale ty za powrotem łatwo to spłacisz, teraz zaś podpisz się tylko na obliżu. — Jakoż podał mi natychmiast gotowy papier, który podpisałem. — Jest to, rzekł, dokument na 2,000 Czerwonych złotych; tysiąc weźmiesz z sobą, a drugi ci nadeszłę później. Bądź zdrów, możesz się wybrać kiedy zechcesz, a szambelan, kuzyn nasz, da ci potrzebne na drogę instrukcje. Słuchaj go, bo to człowiek światły i mający wielką znajomość świata. —

W kilka więc dni, zostawiwszy X. profesora w domu stryja, i poleciwszy jego opiece, wyruszyłem na Lwów do Krakowa, gdzie przeocowawszy tylko, pojechałem prosto do Wiednia. — Jest to miasto dość piękne i duże, ma kilka teatrów, ale niemieckich; a że ja tego języka nie umiem, więc obejrzawszy publiczne spacery, pojechałem przez Strasburg do Paryża. Miasta niemieckiecale mi się nie podobały, a Paryż trochę mnie nudził, ale tego nie śmiałem nikomu powiedzieć. Oporządziłem się podług ostatniej mody; bywałem codziennie w *palais royal* i na różnych teatrach, i przyjąłem kamerdynera Francuza, który mnie wszędzie obwoził. Odbierałem codziennie wizyty nieszczęśliwych, którzy szukali wsparcia lub pożyczania pieniędzy. Tym-

czasem stryj mój nie mi nie przysyłał, a ja zacząłem cierpieć niedostatek i na koniec żyć na kredyt. Pisałem więc niemal co poszta to do stryja, to do matki Dobrodziejki, której opisałem cały mój stan. — Nakoniec doczekałem się od niej dosyć smutnych wiadomości. Doniosła mi albowiem, iż stryj wkrótce po moim wyjeździe umarł, a dłużnicy zatradowali Drzymopol; pomiędzy temi najznakomitsze były pretensye kuzynki i kuzyna JW. szambelana. Sama matka moja ciągle dręczona chorobą, nie wstawiała z łóżka i nie miała żadnego pieniężnego zapasu, długu zaś na Spoczynków bez mojej plenipotencyi zaciągnąć nie może. Posłałem więc tę plenipotencyę jak najprędzej, prosząc matki, ażeby mi na opłacenie długów i powrot do kraju przysłała 3,000 Czerwonych złotych. — Nieszczęśliwa matka zaciągnęła ten dług z płaczem, a ja wykupiwszy się nakoniec z kozy, gdzie już od trzech bawił miesięcy, powróciłem do domu w nowym fraku i z okularami na nosie. Siostronom zaś przywiózłem po kilka par rękawiczek paryskich i po flaszcze wódki pachnącej. Ale cóż! nowe zastałem w domu smutki i kłopoty. —

W. sędzia N. zatradował większą część Spoczynkowa, na fundamencie obliżu który podpisałem u stryja. Zmartwiona tym nadzwyczajnie matka żyć przestała. Znalazły się też niektóre długi s. p. szambelana ojca mego, które wzięte razem z moimi robiły w Spoczynkowie wielki niepokój. Nabozna guwernantka W. rotmistrzów

wna, przez zbytęcną żarliwość w swoich napomnieniach moralnych, ugryzła najmłodszą siostrze mojej kawalek ucha i wykręciła dwa palce, a słuzącej oko wybiła. — Znaleźli się mniemani sukcesorowie mojego stryja, którzy wynaleźli jego testament, a którzy nie tylko sobie rościli prawo do Drzymopola, ale nawet do części Spoczynkowa. Zastałem przeto trzydzieści dziewięć pozwów, częścią za długi i rozmaite urojone pretensye, częścią przez dobroć sąsiadów, którzy rozebrawszy pomiędzy siebie wielką część mojej ziemi, pozrywali o rozgraniczenie i zabory. —

Wpółród tylu kłopotów, jeden z bliższych sąsiadów, W. regient kondemnata, odezwał się o rękę starszej siostry mojej. Sąsiad ten prawdziwie przyjacielski i sentymentalny, nie chciał żadnego posagu; owszem, obiecał wyposażyć pozostałe dwie siostry, abym się tylko całkiem zrzekł na niego odłużonego i zewsząd już zakłóconego majątku. A gdy mu przekładał, iż tym sposobem żyć nie będę miał z czego, odpowiedział: że będąc filozofem niczego nie potrzebuję; a wreszcie ofiarował mi małą dożywotnią pensją, i rewersową dla sejmików possessją. Cóż miałem robić? — Po długich namysłach, okładany coraz bardziej pozwami i zajazdami nekany; wypędzony niemal z własnego domu, przystałem nakoniec na wszystko. A tak pozbywszy się majątku i kłopotu, postanowiłem sobie pędzić życie filozoficzne na bruku. I w samęj rzeczy nie będąc niczem, nic nie mając i o nic nie dbając, jestem

w ścisłym znaczeniu wyrazu filozofem, i nikt mi tego tytułu zaprzeczyć nie może. Tak sobie filozofuję od lat dwudziestu kilku. A żem u siebie przeniósł wileński bruk nad inne sławniejsze; miałem do tego ważne powody. Jaki zaś jest mój sposób życia i jakie zabawy, już czytelniku mógł dostatecznie osądzić. A zatem bądź zdrow i wesół. —

Faint, illegible text on the left page, likely bleed-through from the reverse side.

**PISMA**

**ROZMAITE SZUBRAWSKIE.**

Faint, illegible text on the right page, likely bleed-through from the reverse side.

**POSTRZEŻENIA**  
**WŁÓCZĘGI GULLIWERA**

ogłoszone przez  
**BOGUMIŁA UWĄŻNICKIEGO,**  
szlachcica oszmiańskiego.

---

**§. 1.**

*Odezwa do redaktora Brukowych Wiadomości.*

Mości Panie Redaktorze!

Nie mam ja szczęścia należeć do zacnego zgromadzenia Szubrawców, których jeden z uczonych WPana kolegów tak pracowicie opisuje z tyłu i z przodu, że aż czytającemu ślina idzie do gęby, i gwałtem się szubrawstwo kręci po głowie. Jedna mi tylko nad uczoną jego rozprawą przyszła uwaga, to jest: że autor nie musi być z powołania tak nazwanym historykiem naturalnym, ponieważ się nie trzyma sposobu i nie używa wyrazów, jakich zazwyczaj ci historycy w opisanu nowych gatunków używają. Ale to mniejsza.



bo ja weale nie o tém do WP. chcę pisać, tylko zwyczajnie, jak się autorom przytrafia, piszę bez myśli, albo co innego myśląc. Szkoda porzucić zdanie lub uwagę, która się ni ztąd ni zowąd nawinie, kiedy się już raz ma pióro w rękę; więc przepraszam i przystępuję do rzeczy — bo podług zwyczajnego sposobu mówienia, tak nazywamy i to, co często jest nie do rzeczy.

Uczone zgromadzenie WPanów, zapewne zna wszystkie przypadki i postrzeżenia sławnego szubrawca, włóczęgi *Gulliwera*, przyjaciela naszego Doświadczyńskiego, z którym szkoda, że się gdzie nie zjechał. Otóż Mości Panie, ten Szubrawiec, w podróży do Laputa, zastał na wyspie *Balnibarbi* w mieście *Łagado* bardzo uczony uniwersytet, czyli też akademiją (bo prawdziwie nie pamiętam, WPanowie to lepiej musicie wiedzieć) projektystów, których nader ciekawe i ważne badania\*) opisał. Trzeba, żebyś WPan wiedział, że ten poczciwy Gulliwier miał szczególne zachowanie z niejakim Piotrem Bajarskim, podstolim wendeńskim, a moim wielkim przyjacielem. Więc tedy mój Pan Piotr dostał od niego niektórych

\*) *Badania*, nie jest wyraz dosyć uczony; właściwie wypadaloby powiedzieć *Zacicki*. WPanowie wiecie, z jakiegoż kuźni ten wyraz wyszedł; ale, że nasi Litwini rozumieliby czasem: żeto o zaciekach mowa, albo: że im zacięka za kołnierza, więc tego wyrazu nie używam.

pisemek, częścią z opisaniem nowój jakiejś włóczęgi, częścią z dodatkami do tego, co już wytłoczył\*). A tych pisemek ja się dorwałem, sposobem bardzo uczciwym: bo, mówiąc między nami, Pan Piotr zrobił mię był eksekutorem swego testamentu. Nie wiedząc tedy, co z temi piśmami robić? postanowiłem sobie, ot tak, kiedy niekiedy, rozsiewać je po bruku, a WPanowie, Panowie Szubrawcy, kiedy chcecie, zbierajcie. Chciałem więc i teraz upuścić jeden dodatek; ale żeby się mógł łatwo zawałać, więc go wolę WPanu prosto posłać.

*Dodatek do rozdziału V. i VI. Podróży do Laputy.*

Na wyspie *Balnibarbi*, są trzy klasy ludzi; z których jedna chodzi w *koturnach\*\*)*, mieszka pod słomianą niską strzechą, dymem oddycha, a plewami na pół z mąką się karmi; każdy człowiek w tej klasie, z urodzenia i obowiązku, orze, sieje i młóci; ale koniecznie na tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Druga klasa chodzi w bótach i długich sukniach, nakształt szlaf-

\*) WPan się nie śmieję: bo to jest wyraz prawdziwie dobitny i doskonały. Bo cóżto znaczy *drukować*? tak mówić każdy potrafi, ale *wytłoczyć*: to pięknie.

\*\*) Gulliwier był człowiekiem uczonym, a łapciów widać nie znał.

roków, głowy, po większej części, dla łatwiejszej transpiracji\*) goli i ręcznikiem długim, rozmaitemi farbami upstrzonym, się przepasuje; a to jak widać dla podwiązania i podparcia brzucha, który zazwyczaj jest wielki. Chociaż nie uważałem, żeby ta klasa miała większe głowy od innych: *bo zdawało mi się, że najwięcej bruchem celowała*, przekonałem się jednakże\*\*), że celowała rozumem, bo się oczywiście rodziła i z zupełną nauką i ze zdolnością do wszystkiego. Dowodem tego oczywiście to było, że klasa ta pisała prawa, i że posiadała wszystkie urzędy, nawet sędziowskie, a to bez żadnej nauki, jedynie za nadaniem przez drugich członków tej klasy. Sposób tego nadania był ten: iż w pewnym przeciągu czasu, wszystkie członki tej klasy zjeżdżały się razem i na natchnionych, czyli czujących w sobie powołanie do urzędu, ciskały drewnianymi kulkami; a na kogo większa liczba kulek padła, ten tym samym był zdalny do wszystkiego. Nie mogłem tego długo pojąć, i rozumiałem z początku

\*) Domyślałem się: że to dla łatwiejszej transpiracji: bom czasem widział, jak się z tych czupryn kurzyło wyraźnie, czego wszakże na głowach niegolonych nie znać. Wreszcie wartoby, ażeby jaka uczona akademija wydała w tej mierze pytania do konkursu.

\*\*) Nie potrzeba WPana ostrzegać: że to Gulliwer mówi.

po prostu: że te galki są to jakieś czarodziejskie nasiona talentów, które na ludzi tak, jak na pustą rolę rzucano; ale gdy się raz z tym odezwał, wysmiała mię cała wygolona klasa\*), i musiałem milczeć. Ta klasa utalentowana, sama jedna posiada ziemię, którą za pomocą klasy koturnowej uprawia. Trzecia klasa, bardzo liczna, chodzi z brodą i wiszącymi po skroniach włosami; nosi długie szlafroki nakształt klasy przepasanej, ale zawsze czarne; możniejsi i zacniejsi w tej klasie, zwłaszcza gdy chcą nastawić powagę, odkrywają jeden pociąg tego szlafroka, zazwyczaj brudnego, i pod nim trzymają rękę za pasem; wychodząc z domu, chodzą w lecie i w zimie w opończy, która pospolicie jest obszarpana i brudna. Ta klasa umie z mąki żytniej pędzić trunek opajający i smrodliwy, za pomocą którego od klasy koturnowej wszystko wyłudza; i nie nie robiąc z niej żyje, za co klasie golonej rocznie umówioną summę opłaca; za oszukiwanie zaś samej klasy golonej nie nie płaci.

Gdy się był na wyspie, jeden członek akademii podał projekt oswobodzenia klasy koturnowej, namawiając przepasanych, ażeby tej klasie pozwoliła mieszkac i orac, gdzie się jej podoba; od czego przepasani (jak się zdawało) cale nie byli dalecy. Ten projekt zależał na tym: ażeby

\*) Jakże się nie śmiać? widzieć oczywiście: że Guliwer był prostak.

w każdym okręgu, na które wyspa była podzielona, ustanowić dobrze płatnego opiekuna, któryby wolności klasy Koturnowej przestrzegał. A że wolność koniecznie zależy od lekkości; więc ten opiekun powinien być mieć pilną baczność na kieszenie tej klasy, ustawicznie je przeglądać, i coby w nich było ciężkiego wyjmować: prócz tego, cokolwiekby na człowieku koturnowym widział szkodliwego jego lekkości, a od czego go klasa brodata nie oswobodziła, winien był zabierać do siebie. Za co miała mu klasa przepasana składać corocznie znaczną do jego rozrządzenia sumę. Ten zbawienny środek tym był potrzebniejszy, że chociaż na wyspie było dosyć filantropów gorliwych o lekkość kieszeni, tak klasy koturnowej jako i przepasanej, i każdy okrąg miał swoich, kulkami drewnianymi do tego upoważnionych; wszelako prawdziwa filantropija wymaga, ażeby takich było jak najwięcej.

Drugi członek akademii podał projekt dla klasy przepasanej: żeby ta mogła bezpiecznie lokować swoje pieniądze. Ten projekt zależał na tém: żeby część tych pieniędzy natychmiast oddać uprzywilejowanemu malarzom, którzy majątki w miniaturze malować umieją. Żeby każdy zaraz takiego malarza, nastanego od kolegium sztuk wyzwolonych, u siebie przyjął, karmił, i za miniaturę gotowemi pieniędzmi zapłacił. Tę miniaturę powinien był posłać do wyższego kolegium matematyków, w których kancelaryi tak-

że część kapitału ulokuje, a oni mu za to powiedzą, co jego miniatura warta. Wyjechałem z wyspy, nim ten projekt przyszedł do skutku, i nie wiem, co się z nim stało; bo rozmaite członki klasy przepasanej zaczęły się natychmiast o wzmiankowane miniatury kłócić, dowodząc po dwóch, a często po trzech lub więcej: że miniatury do nich należą, i wydzierając je sobie nawzajem. Z czego się malarze niezmiernie śmiali, biorąc tymczasem kapitały i od jednych i od drugich, a to wszystko dla bezpiecznej lokacyi.

---

## §. 2.

### *O wyspie i mowie Kukuryków.*

W ciągu bawienia się mojego na wyspie *Balnibarbi*, przekonałem się, że mieszkańcy z przyrodzenia dobrzy i poczciwi, dotknięci są niemal powszechnie osobliwą wcale chorobą oczów, jakiej na innych poblizkich wyspach nigdy nie widziałem. — Ta choroba zależy na tém, iż ich druki wszelkiego rodzaju niezmiernie rażą, i dla tego nic nie czytają i czytać nie lubią. — Ztąd pochodzi, że księgarze bardzo się źle mają, a autorowie jeszcze gorzej, pisząc po większej części jedni dla drugich. Owszem i ci ostatni, czę-

sto się kłócąc i nienawidząc nawzajem, przez prawdziwą lub udawaną pogardę rzadko jedni drugich czytać raczą. Kogo więc chuć autorska mocno i bez ratunku dręczy, ten w dziełach swoich długo butwiejąc i służąc to myszom na gniazda, to molom za pastwę, idzie nakoniec pod placki lub na funkciki. Takie jest na tój wyspie wysokie pisarzyów przeznaczenie i taka nagroda. Wszakże ta ślepotą panuje tylko w klasie przepasanój; koturnowa albowiem nie może czytać, bo nie umie, ale to zostawia uczonym z professyi. Owszem cała ta klasa (rzecz niesłychana!) mówi i pisze osobnym i całe obcym na wyspie językiem; więc pisarzyów krajowych nie czyta i nie zna. Jój zaś właśni uczeni nie umieją, ale całe życie nad wielką siedząc księgą, dzień i noc się kiwają, to z tyłu naprzód, to z jednego boku na drugi, podług ważności materyi. Zachowują jednakże całą mędróści powagę, a na okazanie niezgruntowanój głębokości nauki, nigdy nie mówią, ani tego, co do nich mówią, nie słyszą i nie rozumieją. Pospólstwo brodate karmi ich i odziewa, a przez uszanowanie, zaledwo kiedy i to z największą nieśmiałością, do nich się zbliża.

Przyczyny zaś choroby oczów w klasie przepasanój, rozmaite się być zdają. Można albowiem tę klasę podzielić na kilka gatunków, podług wychowania, majątku i sposobu życia; a naówczas łatwo jest poznać, jak przyczyny ślepoty w każdym gatunku coraz są inne. Samo

albowiem czoło, czyli szczyt tój klasy, także języka *Balnibarbi* nie umie, a przynajmniej umieć nie chce, a przeto udaje, że nie umie. Nie jest dla tego gatunek ten niemy; owszem najwięcej szczebioce, ale językiem *Kukuryku*, wyspy osobnej, od *Balnibarbi* znacznie odległej. Wielka albowiem część ich wychowania i wyzłości na tём się zasadza, żeby się języka *Kukuryku* nauczyć. Częścią więc dla tego, częścią dla niepospolitowania się, dzieci swoich z innemi do szkół nie oddają, ale albo na wyspę *Kukuryku* wywożą, albo ztamtąd nauczycielów wypisują; albo zbiegłych i wałęsających się obojętj pici włóczęgów skwapliwie chwytają, przepłacają, wydzierają jedni drugim i im hodowanie potomstwa swego powierzają. Czupurne zaś te i świegotliwe *Kukuryki*, przez ustawiczne szczebiotanie, wyziewają z siebie gatunek bardzo jadowitego gazu, albo raczej lekkiej piany nakształt mydlin, któremi oczy młodych i niewinnych *Balnibarbków* zaciągają: zkad się rodzi ten szczególny i niepojęty gatunek wzroku, iż co tylko jest wyspie ich właściwego, tego albo nie widzą, albo widzą pod najgorszą postacią; a zatem i druków w własnym języku albo nie czytają, albo nie rozumieją, albo ziewają na sam ich widok mając je za niedoskonałe i niezmiernie nudne. Owszem, taka jest moc jadowitej piany tych cudzoziemców, iż gdzie tylko jeden z nich wpadnie, cały dom zaraża; a potem wszystkie do siebie garnie, wszystkiém samowładnie rzą-



dzi, i tego nadewszystko pilnuje, ażeby się nikt grubym i nieokrzesanym językiem *Balnibarbi* mówić nie ważył.

Oprócz tego, ruchawy ten lud i bardzo zwrotny, posiada w wysokim stopniu talent przebierania nogami, przez co doskonale najskrytsze swoje myśli i rozmaite uczucia tłumaczy. Wieleby było mówić o tej obszerniej *Kukuryków* nauce, w której są dla wszystkich innych ludów mistrzami, a za której pomocą, niejeden geniusz w mgnieniu oka trzy razy się wkoło na jednym palcu okręci. Na tej tedy nauce chodzenia, wywijania się i podskakiwania, całą młodość dystyngwowane *Balnibarbki* trawia; a nauczyciele ich, mniej dbając o głowę, w nodze i pięcie całą szlachetność i doskonałość człowieka gruntują, twierdząc, iż to jest prawdziwy fundament, ponieważ bez nóg niktby stać ani chodzić, a zatem ani dójść do niczego nie mógł. Robiący tego gatunku, gdy się zbiorą razem, sadzają się, cenią i poważają podług stopnia *Kukurykowatości*. Mówią wiele bezprzeszannie i najczęściej wszystkie razem, a w tymi zmieszanych i na wzór niepojętym gwarze, przesyłają sobie ze wszech stron pytania i odpowiedzi, a zawsze w języku *Kukuryków*. Ponieważ zaś nieumienie tego języka jest znakiem złego wychowania i wątpliwiej rodowitości, zatem te, które go nie umiały zamłodu, uczą się dzień i noc nawet na starość, co jest gatunkiem odmłodnienia. Jeżeli zaś mówią własnym językiem, tedy tu i ówdzie,

jak muszki na brodawki lub piegi, choć po parze słów *Kukurykowych* przylepiają; co jest znakiem dobrego wychowania i robi srokaciznę modną i wcale przyjemną, coś nakształt habilońskiego munduru. Zdarza się i to, że nie bardzo w *kukurykowym* języku biegle, ale dla dobrego, jak mówią, tonu tu i ówdzie nim się odzywające, nielitościwie go kaleczą; co bywa na innych schadzkiach kobięcych, lub mężko-kobięcych obfitą materją długiej rozmowy i uszczypliwych żartów. Tak co gdzieś jakiś uczony dziwak powiedział, że ludzie żyją jedni kosztem drugich, na wyspie *Balnibarbi* jeszcze się dalej rozciąga, bo nawet jedni kosztem drugich się bawią. — Za miłością języka i wychowaniem, poszła i miłość samych *Kukuryków* i ich obyczajów. — Dlatego gdziekolwiek się na wyspie nowy jaki pokaże, wszystkie, tak się same przez skromność nazywające, dobre towarzystwa, ubiegają się za nim jak za rarogiem, starają się jak o osobliwszy specyał; a gdzie się na schadzce pokaże, otaczają go z podziwieniem, sadzają na pierwszćm miejscu, wielbią, dziwią się wszystkiemu co powie, słowem: nacieszyć się nim nie mogą. Zkąd pochodzi, że nie ma na wyspie tak nadętego i krnąbrnego, jak *Kukuryku*. A że oczy przepasanych nieuleczonym sposobem są zamydłone, to jest, zarażone i zepsute; że, za pomocą tej choroby, wszystko, co jest swoje, wydaje się szkaradne i niedorzeczy; dlatego mieszkańcy *Balnibarbi*, sposobem wszystkim na

świecie ludom przeciwnym, nie tak nie uważają, jak cudzych; niczego mniej nie cenią jak swoich; i jeżeli się który z tych biednych cokolwiek obmoże i celować w czem zacznie, samo jego wspomnienie wzbudza w polerowanej klasie spazm, i okropnie jej usta wykrzywia; kiedy wspomnienie jakiegokolwiek obcego bałwanka łagodzi uśmiech, za którym idzie jednogłośnie odezwanie się.... *Ah! co to, to co innego!*

Nie tak jest mocna choroba oczów w gatunku cokolwiek od szczytu niższym; w nim albowiem ci tylko cierpią, którzy się o pierwszy gatunek ocierają, z nim kojarzą i żyją, lub którzy się gwałtem pną w górę i biorą na pazury, a żeby temu gatunkowi wyrównali. Co się jednakże częściej daje postrzegać w kobietach aniżeli w mężczyznach. Ci żyją po większej części na wsi i uprawą ziemi są zajęci, a do miast przyjeżdżają tylko wtenczas, kiedy się między sobą kłóca. — Wtedy udają się po rozstrzygnięciu sporu do wybranych drewnianemi kulkami, ale to pospolicie następuje bardzo nieprędko, i nie wprzód, aż się obiedwie strony pozbawią szkodliwego ognia i wszelkiej jego podniety. Tu znowu zdaje się, że mieszkańcy *Balnibarbi* ani mówić, ani pisać nie umieją: bo zazwyczaj najmują innych, którzyby w tych kłótniach za nich gadali, pisali i łajali stronę przeciwną. Nie można powiedzieć, żeby gatunek ten nie czytał; owszem, są w nim tacy, którzy wychodzące w kilka dni na wielkim papierze pismo sprowadzają

i czytają głośno wszystkim swoim sąsiadom i znajomym, albo naokoło pożyczają. Pismo to, jestto uprzywilejowany zbiór nowin i plotek z innych wysp nadesłanych, owszem zbieranych z całego świata, a kończy się doniesieniami o kłótniach i wzajemnych oszukaniach na wyspie zdarzonych, lub nastąpić mających; co przepasani z największą czytają ciekawością i co ich najmocniej bawi. O tym gatunku jest nadzieja, że zupełnie przejrzy, zwłaszcza, że doktorowie mocno się zaczęli krzątać około jego uleczenia, a niedawno wpadli na nowy i wcale szczególny wynalazek, to jest, żeby temu cokolwiek czytającemu gatunkowi, co ośm dni zbieranym na bruku piaskiem, oczy przecierać. — Co, lubo niektórych zaślepionych niezmiernie razi, ale wielu innym, jak mówią, pomaga, i im samym za czasem pomódz może, ile że niepodobna, żeby niekiedy jakie ostre ziarno i im w oko nie wpadło; co powoli, ale skutecznie i pewnie fatalne bielmo wygryzie i strawi.

Ale wielka jest i niełatwa do uleczenia choroba oczów w trzecim i mniej uważanym gatunku przepasanych. Gatunek ten rodzi się po wsiach, ale się wcześniej i bardzo młodo do miast i miasteczek ciśnie, gdzie bierze wychowanie w magazynach zbutwiałych szpargałów i przysłuchuje się wcześniej kłótniom i łajaniom z tych szpargałów wynikłym, przez co i wzrok znacznie przypiępia; tak, że potem całe życie dość krótko

widzi, i zabićra wcześniej gust do kłótni, obie-  
 rając je niekiedy za ulubione zatrudnienie całego  
 życia. Ci, oprócz swoich starożytnych szparga-  
 łów nic nie czytają, owszem wszystkie inne pi-  
 sma zupełnie mają za nic, i bez subiektywnego głup-  
 stwem nazywają. Są to prawdziwi i jedyni  
 starożytnicy na całej wyspie, a kunszt swój wy-  
 doskonalili do tego stopnia, że nie tylko na ka-  
 żdym odwiecznym szpargale potrafią czytać co  
 potrzeba, nie tylko zepsuty naprawią, do przypa-  
 dku naciągną, podskrobiają, podlatają; ale nawet  
 nowe budować i im doskonale piętno starożytno-  
 ści nadać umieją. Doktorowie utrzymują, że  
 mała jest wyleczenia ich nadzieja, a to dla tego,  
 że jest w nich symptoma wszystkim nieuleczon-  
 ym chorobom właściwe, to jest, że się mają za  
 zupełnie zdrowych; owszem, uważając resztę lu-  
 dzi za chorych, z uśmiechem i litością spoglą-  
 dają na nich; niektórzy atoli nie tracą nadziei  
 i sądzą, iżby nie szkodziło spróbować, i im wy-  
 żej wspomnionóm lekarstwem oczy nacierać; ale  
 na to trzebaby mocnej dozy, i bardzo pewnej  
 ręki.

### §. 3.

## Co się dzieje na wyspie Peroradzie?

### *Jeszcze postrzeżenia włóczęgi Guliwera.*

Niedaleko od wyspy *Balnibarbi*, naprzeciw  
 portu *Maldonado*, leży druga wyspa niewielka,  
 której dla pewnych przyczyn w podróży mojej  
 nie opisałem. Należy, równie jak poprzedzająca,  
 do króla *Laputy*, i nazywa się *Perorada*, co  
 znaczy w języku *Balnibarbi*: Kraj wymowy. I  
 sprawiedliwie; wszyscy albowiem mieszkańcy są  
 mówcami czyli oratorami z urodzenia, powoła-  
 nia i gustu. Owszem ten talent jest u nich na-  
 miętnością. Nie uczą się oni wprawdzie wymo-  
 wy więcej od innych, ale ją mają z przyrodze-  
 nia, i dlatego nią całe życie są zajęci. Niemasz  
 żadnego publicznego obchodu, żadnego zgroma-  
 dzenia, żadnej schadzki, któraby się nie zaczęła  
 od mowy, i gdzieby kilku przynajmniej człon-  
 ków nie wystąpiło z mowami. Ci, którzy są  
 na czele zgromadzenia, nie ustąpiłiby przywileju  
 przemawiania do drugich za żaden skarb w świe-  
 cie. Nie mówią oni wprawdzie z potrzeby, a  
 zatem ani z pamięci, ale napisane kilkoćwiar-  
 tkowe głosy wyciągają z wolna z kieszeni, a od-  
 krzknawszy poważnie, lub wdziawszy okulary  
 na nos, głośno czytają.

Mowy takowe zawsze się drukują, chociaż drudzy mówcy rzadko je czytają. Jeżeli który mieszkaniec należący do jakiego zgromadzenia, nie jest sam w stanie napisać, kupuje mowę u drugich i czyta; boby to był wstyd, nie zabrać głosu i nie przeczytać przynajmniej arkusza. Od tego bowiem całe szczęście wyspy, pomyślność obywateli, i dobre skutki obrad zależą. Cóż albowiem są obrady? jeżeli nie zbiór kilkunastu lub kilkudziesiąt głosów, stosownie i niestosownie do materji odbytych. Że zaś kraj jest bardzo porządny, przeto dla publicznej wygody są pisarze mów i głosów z powołania, i są obszerne kramy, w których za umówioną cenę, głosów w każdej materji dostać można. Żeby je zaś łatwo do okoliczności przystosować, są pospolicie bez tytułu, i mają tu i ówdzie miejsca próżne. Kupujący nadaje im imię jako swojej własności, a w miejscach próżnych, czyli *odstępach*, kładzie według potrzeby, albo *Prześwietna publiczności*; albo *Prześwietny sądzie*; albo *JWW. WW.*, *Mości Panowie*; albo *Szanowni koledzy*, i t. d. i t. d. jak z losu wypadnie.

Niechże się na wyspie pokaże król, albo który z urzędników znaczniejszych, każdy sobie ma za powinność, ażeby go, gdziekolwiek spotka, mową powitał. Cisną się więc do niego o każdej porze; wychodzącemu lub wyjeżdżającemu zastępują drogę; przejmują na wszystkich załamaniach i zawrotach; zatrzymują niemal gwałtem i nie puszczejają dopóty, dopóki przygotowanych dla

siebie głosów nie wysłucha. Dlatego też wielcy urzędnicy rzadko się na tę wyspę spuszczejają; ale jeżeli się do niej *Laputa* \*) zbliży, lub nad nią nosi, mówcy zwracają głos i oczy do góry, z całym zapalem przygotowane mowy wykrzykują, a potem drukowane na spuszczonej umyślnie z *Laputy* długą linę nadziejają. Mieszkańcy wyspy napowietrznej mają ztąd nie małą korzyść, nie mając albowiem lasów, aby tylko tydzień nad *Peroradą* zabawili, mają czém w piecach palić przez całą zimę. Nie jest więc ten rodzaj pracy bez użytku, owszem ponieważ, jakem gdzie indziej opisał, astrologia bardzo jest u mieszkańców *Laputy* wydoskonalona; zatem ile razy ciężką przewidują zimę, cały miesiąc nad *Peroradą* krążą, co tak dobry i pewny ma skutek, iż się potem najcięższych nie lękają mrozów. Rucharze zaś nie chcą używać tego materiału na opał, dostrzegli albowiem, iż daje wiele i trzasku i dymu a mało ciepła. Dlatego i gotowane przy nim potrawy, niezmiernie czczym wydymają wiatrem.

Ale i w niedostatku wielkiego urzędnika lub obrad publicznych nie próżnują *Cycerony* wyspy

\*) Czytelnicy nasi, co nie czytali sławnych podróży *Guliwera*, wiedzieć mają, iż *Laputa* jest wyspa napowietrzna unosząca się w przestrzeni samym duchem magnetycznym; tudzież że na niej mieszka z całym dworem i magnatami król, do którego *Balnibarbi* i *Perorada* należą.



i jej stolicy *Gawędopolu*, ale w potrzebie witają się mowami jedni drugich. Wykrzykują je na każdym weselu, na każdym imieninach lub urodzinach. Na tych ostatnich odbywają głosy lub składają śpiewy do nowo narodzonego niemowlęcia, do rodziców i krewnych, tłumacząc im: czego się po nowonarodzonym familii i kraj spodziewać mają; jak wielkie w nim postrzegają zdolności i talenta; tudzież jak jest szlachetna krew z której się rodzi. Na pogrzebach wyliczają niesłychane zmarłego zasługi i cnoty; grożą po tak wielkiej stracie nieochybnym upadkiem krajowi, potem szczęściem postrzegają przytomnego tam pozostałego potomka, który tak okropne nie-szczęście pewno odwróci.

Jeden z członków akademii w *Lagado* podał projekt, ażeby: *naprzód*, dla wygody mieszkańców wyspy *Perorady*, w mieście po wszystkich rynkach i rogach, a na drogach publicznych co tysiąc kroków, wystawiać wygodne i wyniosłe *mównice*, gdzieby każdy nawiedzony nieodbitą potrzebą czytania z karty, przechodzących miał prawo zatrzymać, dopóki by jego głosu nie wysłuchali. *Powtóre*, ażeby na tej zasadzie systema podatowania oprzeć, naznaczając od każdej ćwiartki mowy publicznie czytanej, po jednej sztuce złotej, a po srebrnej czytanej prywatnie. *Potrzenie*, ażeby ci, którzyby przechodząc lub przejeżdżając około mównicy, zatrzymać się i posłuchać głosu nie chcieli, zapłacili po pół sztuki srebrnej. *Poczwarte*, ażeby

tych, którzy innych publicznych podatków nie zapłacili, do publicznych mównic codziennie prowadzić, a nie pozwalając im mówić, dopóty słuchaczami tylko być kazać, dopóki zaległości nie zapłacą.

Drugi atoli bardzo uczony członek tej akademii, wydał przeciwko niemu pismo w ośmiu tomach, dowodząc, że to systema jest szkodliwe, i że tym sposobem wkrótceby cała wyspa przyszła do ostatniego ubóstwa. Owszem, ponieważ się z tablic śmiertelności i świadectw doktorów pokazało, iż z przyczyny zagęszczonych chorób piersiowych coraz więcej ludzi umiera (co zapewne zrywaniu piersi przez częste wykrzykiwanie mów przypisać należy), zatem radzi, ażeby nie tylko mównic po drogach, rynkach i ulicach nie stawiać; ale żeby na podobieństwo *budzieli* na wyspie *Lapucie*, którzy wyprowadzają metafizyków z głębokiego pogrążenia w myślach, pałac po uszach i nosach suchemi pęcherzami z grochem: postanowić publicznych *uśmierzcycieli*, którzyby z urzędu, osadzoną na długim kiju poduszką, stawającym w pozyturze do perorowania, skoro tylko otworzą gębę, zatykali. Znalazło się atoli wielu uczonych, którzy i przeciwko tej pięknej myśli powstali, mądrze i gruntownie dowodząc, iż ten sposób całkiem jest szkodliwym; można by albowiem takim postępkim niejednego ważnego i gorliwego mówcę od razu udusić. Inni dowodzili, iż tak nagłe i gwałtowne wstrzymanie oratorskiego zape-

du, mogłoby sprawić konwulsje, lub na zawsze drogie mówców zdrowie osłabić. Ci więc miłośnicy pięknych umiejętności radzą, ażeby raczej wszystkie miejsca publiczne osadzić *Rzegotnikami*, którzyby ile razy mówca głos zabierze, dopóty rzegotali wszyscy razem, dopóki by nie skończył. Jakoż uważałem, że to rozsądne zdanie wielu się podobało, dla tego iż rozumieli, że turkot rzegotek, nie tłumiąc głosu mówców, sprawi w uszach słuchaczy taki sam skutek, jak czytanie kilku głosów razem, a zatem że się przez to obydwom stronom dogodzi. Na zgromadzeniach tylko i schadzkiach, gdzie idzie o wykonanie rozrządzeń wyższych lub ważną jaką robotę, zatem gdzie czynić nie gadać potrzeba; każdy członek będzie miał przy sobie uśmierzyciela, trzymającego na bardzo ładnym pozłacanym trzonku skórzaną klapę, naksztalnym używaną u nas na muchy. Ten, skoro kto z członków sięgnie do kieszeni po pismo, uderzy trzonkiem mocno po rękę; jeżeli zaś zabierze głos i nadto długo mówić będzie, klapą po języku, powtarzając to ile razy będzie potrzeba. Żeby zaś dać talentom wszelką wolność i opiekę, a razem szerzeniu się chorób piersiowych tamę położyć, będzie wybrana pewna tylko perorantów liczba, którym przywilej ten służyć będzie wyłącznie, a którzy na znak swojej godności i swego talentu, nosić będą żółte szlafmyce z czerwonymi kutasikami, jako godło oratorskiego zapału.

## §. 4.

*Znawn o państwie Laputy i koniec postrzeżeń włości Guliwera.*

Kto nie zna doskonale wszystkich mieszkańców królestwa Laputy, mógłby z pewnego względu sądzić, że mają zupełnie pomieszane zmysły. Uważając albowiem, jak wiele cenią starożytność swoich domów, i jak się troskliwie i kosztownie o wywody tej starożytności ubiegają; jak ją niekiedy drogo kupują: zdawałoby się, iż nic wyżej nie cenią nad własne domowe imiona. W rzeczy samej zaś niczego się bardziej nie wstydzą, tak dalece: iż nazwać kogo z nich prosto po imieniu, jest to go mocno urazić i zarobić sobie na trwałą nieprzyjaźń; jest to pokazać się bardzo nieobyczajnym w towarzystwie i nieokrzesanym prostakiem. Dla uniknięcia więc tego nieszczęścia, to jest, ażeby ich czasem kto po imieniu nie nazywał, starają się wszyscy o urzędy lub tytuły, z których największą część sami sobie nadają nawzajem, lub sami bez dołożenia się niczyjego. Czego gdy raz dokażą, nikt ich więc nie nazywa inaczej jak po urzędzie. Ztąd wypada rzecz dla nas cudzoziemców wcale zabawna i nowa, to jest: że cały kraj z samych tylko urzędników się składa. Jeżeli bowiem kto miał urząd, nawet przed trzydziestą lub czterdziestą

laty; wiecznie go takim samym urzędnikiem nazywają. Owszem, urząd ten raz pochwycony staje się tytułem, który wiecznym prawem spada na następców, i od pokolenia do pokolenia przechodzi, z pewnym tylko wykrzywieniem i przeciągnięciem głosu na końcu; przez co daje się uczuć różnica ojca od syna, wnuka i prawnuka. Niektóre wzięte są od dawniej służby na dworze królewskim; a to w piwnicy, kredensie, przedpokoju, lub kuchni, służby, jakiej od wieków nie ma. Inne od dawnych miejsc w byłym wojsku, w byłym rządzie, byłym powiecie i t. p. Wszystko to jest szacowne; wszystko jakkolwiek dawne i zwierzałe, dobre: aby tylko dawało tytuł; aby okazywało jakąś dostojność, a ochroniło od nazywania się, broń Boże, własnym imieniem. Są nakoniec tytuły pożyczone z zagranicy, te są najwygodniejsze; ponieważ bez dołożenia się niczyjego, można sobie samemu tak znakomity nadać zaszczyt, który nie nie kosztuje, a tём jest lepszy, tём poważniejszy i tём przyjemniejszy w ucho wpada, że obcy. Taka albowiem jest ślepotą tego ludu, że u nich zaszczytem jest być cudzoziemcem, z zagranicznych pochodzić, lub się przynajmniej po zagranicznemu nazywać; a imienia własnego kraju używają niekiedy na nazwisko krzywdzące. Tak np. ponieważ nawet swój strój odmienili i wstydzą się jego; zatém tych, którzy się jeszcze po dawnemu noszą, z urąganiem imieniem kraju swojego oznaczają, mówiąc: „przyszedł tam jakiś *Laputa*“ — „jakiś *Laputa* chce z tobą mó-

wić“ i t. d. — Okropna i nieodpuszczona wada! ciężka pierworodna choroba! z której nawet największe nieszczęścia nie leczą.

Ci, którzy sobie raz tytuł, zwłaszcza cudzoziemski, nadali, gniewają się; jeżeli ich kto nim nie częstuje, i mają to sobie za uchybienie istotne. Ani się godzi nazywać prosto po imieniu ich żony, siostry lub dzieci, ale koniecznie od urzędu: tak dalece, że urząd nie tylko okrywa i zdobi całą familią, ale się nawet każdy urzędnikiem rodzi, i można częstokroć widzieć znakomitych dygnitarzy, prowadzonych na paskach, lub igrających w piasku. Kobiety zaś są nierównie zarliwsze o zachowanie spadających na nie przez męża tytułów, dostojności i zaszczytów. Na co największą mają uwagę w towarzystwach i schadzkach, bądź prywatnych, bądź publicznych; a w czém się przytomnym bardzo pilnować należy, ażeby im nie uchybili, pod karą szyderstwa i wiecznej niełaski. Tu znowu, nie tylko same mają stopnie i urzędy, ale je nawet nadają ławom i stolkom, których wartość nie tak idzie podług godności tych, co siadają na nich, jako raczej sama tę godność nadaje. Jaka taka więc spogląda chciwem i zazdrośnym okiem na najdostojniejszy stół; podsuwa się nieznacznie, lecz gwałtem, ku niemu, potracą niekiedy drugie, starając się je przez to poniżyć, lub, częstując wszystkim pogardą, zdobyć wstępny bojem mniemaną wyższość i dojść do zamierzonej mety. A broń Boże ją która podsiędzie i do pożądanego

stolka nie dopuści; zły humor trwa przez całą schadzkę, przekąsy i ostre przymówki dotyczą wszystkich, co się nawiną; mąż łajany będzie przez cały tydzień, a częstokroć następuje gwałtowna choroba, dla której doktor długo nie odchodzi od łóżka. Ale ta, co podsiadła, może się za to wcześniej porachować z sumieniem, będzie albowiem nielitościwie przetrząsana cała jej rodzina; będzie palcem wytknięta niezmierna familijna niższość, jeżeli nie podłość. To samo ubieganie się o pierwszeństwo następuje; gdy wychodzą z sali do sali, bądź dla tańców, bądź dla jedzenia. Naówczas, każda się stara być pierwszą we drzwiach, bieży do nich jak w najważniejszej sprawie, a biada wszystkim, jeżeli ją która uprzedzi.

Dla zachowania zaś pamięci i dowodów swego rodu, dla wyprowadzenia go z jak najdoglejszych czasów, mieszkańcy całego państwa Laputy, a mianowicie wyspy *Bahibarbi*, robią z całego rodzeństwa mapkę, i tę dla wiadomości wszystkich ciekawych, rozwieszają na ścianach. Mappy takowe, które gościom i sąsiadom z największą skwapliwością tłumaczą, mają postać drzewa, na którym całe rodzeństwo w kratkach siedzi lub kółkach, ale tak że pierwszy założyciel familii osadzony jest na pniu; inni z niego pochodzący na gałęziach, jak wróble; a ostatni nakształt motylków, na drobnych gałązkach, które giną w powietrzu. Laputowie mają za rzecz z siebie oczęwistą, że, im takie drzewo rozłożystsze

jest i bujniejsze, tym większy zaszczyt domu. A zatem, że bardzo jest wątpliwa rodowitość tych, którzy jeszcze z krzewu nie wyszli, i na jednym arkuszu się mieszczą; jasna zaś, owszem świetna i niezrównana owych, którzy na rozłożenie i wygodne rozpostarcie całego swojego rodu, libry lub rezy potrzebują.

Myślałem nieraz, przypatrując się takim drzewom, że Laputowie muszą pierwiastkowo wyraść z ziemi, a zatem, że ich familie muszą mieć odrębne swoje i od innych ludzi różne początki. Bo zkądżeby się wziął ów pierwszy założyciel na pniu siedzący? Samo jego położenie i niedostatek kratak pod nim pokazują, że z ziemi wyrosł: bo nie ma ani ojca, ani matki; chybaby ci ukrywał się pod ziemią i siedzieli na korzeniach, tak jak ich potomkowie na gałęziach. Aleby to było oczęwiste oszukanie, to tylko pokazywać z swego rodzeństwa, co się nad ziemię wzniosło. Wszakże Laputowie, jakem się przekonał później, robią to w dobrej wierze i sposobem bardzo niewinnym. Tego tylko nigdy pojąć nie mogłem, jak ciż Laputowie, wywodzący początki swoje z pniów i gałęzi, wierzą i równie są mocno przekonani, jak my Europejczycy, że cały rodzaj ludzki od jednego pochodzi człowieka. Zkąd zdaje się wypadać, że innych klas ludzie jednego są z nimi rodzaju i równie mają szlachetny początek, a co się z teorią drzew rodzajowych nie zupełnie zgadza. Rozmawiałem o tém z niektórymi uczonymi, którzy się tłumaczyli, iż założy-



cielami rodziny są ludzie, którzy się wznieśli przez zasługę, talent, niekiedy przez zbrodnie, a najczęściej przez odebrane łaski. Dodali i to, że ostatnich najznakomitsza jest liczba; że skoro się rodzeństwo jakie na wiele rozdzieli gałęzi, starają się tylko okazać, że mają swój pień, nie uważając, jaki był jego początek.

Nie mogłem wszelako przestać na tém objaśnieniu uczonych: bo mi się zdawało, iż takim sposobem wielkie drzewa nie są zaszczytem tych co je rozwieszają po ścianach, wyjąwszy przypadek powstania rodziny przez zbrodnie. Inaczej przypominają tylko i wymawiają niejako następcom, że się niezmierznie oddalili od szczepu, który cały ich ród zaszczycił. Pytałem się niektórych właścicieli drzew wielkich: czyby nie woleli siedzieć na samym pniu na miejscu pierwszego ich założyciela? Wszyscy odpowiadali zgodnie, że nie: bo zaszczyt właśnie zależy na oddaleniu się od niego. Myślałem więc w duszy, że on tym bardziejby na ich miejscu być nie chciał. Przynać wszakże potrzeba, że i ten rodzaj jeografii ma swoje użytki. W wątpliwych albowiem przypadkach, można każdego krewnego poszukać na mappie i z położenia ocenić jego wartość, tak jak się wyciąga z mappy jeograficznej szerokość i długość miejsca. Rzecz dla pływających arcy-potrzebna.

Tak zaś jest przytém drażliwy i zawzięty ród mieszkańców całego królestwa, iż, broń

Boże, jeden drugiego lub jego parę choć najmniej obrazi, zaraz sobie zaciętą wypowiadają wojnę, którą toczą rozmaita bronią dopóty, dopóki jeden drugiego nie zabije; lub mu przynajmniej oka nie wylupi, albo nosa nie utnie. Takowe nikiemne burdy i czuby, okraszają imieniem honorowej walki, z którą się lubią popisywać, i którą mają za zaszczyt. Jak gdyby mogła być, u dobrze myślącego, śmierć honorowa inna, oprócz tej, którą za kraj własny ponosi; i jakby zrobienie burdy i pozbawienie kraju pożytecznego obywatela, nawet tak nazwanem dobrem wychowaniem i najlepszym tonem pokryte, mogło za co innego uchodzić w obliczu rozumu, jak za haniebną zbrodnią. Przyczyną zaś urazy jest, albo niewłaściwe i mogące się komu nie podobać stapanie, albo nieuczczenie kogo godnością, jaką sobie sam w głowie nadał, albo użycie przez nieostrożność jakiego wyrazu, który może mieć dwojakie znaczenie, a który obrażająca się strona na krzywdę swoje tłumaczy i naciąga. Czasem samo bywanie w jednym miejscu, lub ubieganie się o coś pożądanego, oburza strony i do wypowiedzenia sobie wojny podnieca. Dziwna rzecz, że podobne wybuchnienia niesfornego zuchwalstwa i niecznośnej dumy, dotąd w kraju żkąd inąd oświeconym uchodzą. Ale też rząd królestwa zakazuje tych partykularnych wojen wszelkim sposobem. Co tyle tylko sprawuje, iż się odbywają potajemnie; chociaż o tajemnicy tej zawsze i wszyscy wiedzą.

Akademija projektystów w Logado, troskliwa nie tylko o dobrą sławą wysp, ale razem o powodzenie i dobry humor wszystkich ich mieszkańców, podała względem tych ulubionych zatrudnień swoich ziomków, rozmaite myśli i widoki. Tak np. ponieważ spotykające się w towarzystwach nieznanym osobom nie o wzajemnych tytułach i dostojnościach nie wiedzą, a znajome o nowo nabytych wiedzieć nie mogą; przez co łatwo wzajemne rodzą się urazy: zatem, żeby tej nieprzyzwoitości i wynikającym ztąd niechęciom zapobiedz, radzi akademija: ażeby wszyscy mieli przyzwyty do sukien, płaszczów, oponczy, szub, szlafroków lub czapek, miedziane tabliczki z wyrzyciem na nich tytułami, lub ze znakami wyrażającymi urząd. Tak np. oddający sprawiedliwość urzędnik mógłby się oznaczyć przez szalkę, na której prawda zawsze idzie do góry; wielki dygnitarz przez wydęty pęcherz; oficyalista przez nienapchany wór; dworak przez lisa; kommisarz przez wilka; a człowiek prawdziwie zasłużony przez zero. Dodaje projekt, ażeby na domach były podobne tablice ze znakiem dostojności i z dołożeniem JO. lub JW. gdyż tym sposobem każdy wchodzący do domu wie, z kim ma mieć do czynienia i jak go szanować. Nakoniec, ażeby pojazdy, służący i konie nosiły na sobie podobne zaszczyty osób, do których należą.

Co się zaś tycze wielkich owych drzew familijnych, tedy akademija życzy: ażeby odtąd tak znakomite skarby nie ukrywały się pod dachami

i nie poniewierały po gołych ścianach; ale, żeby były okazale wystawione na widok publiczny i stały się uwielbieniem i podziwieniem całego ludu. Radzi więc, ażeby używszy na to mocnych pni dębowych, drzewa takowe stawiać przed każdym domem, na środku dziedzińca, nakształt gołębników; a imiona lub wizerunki familijne w kłatkach na gałęziach rozwieszać. Tym sposobem, każdy przyjeżdżający na samym wstępie pozna, z jakim ma domem do czynienia i jak go ma szanować; a z wielości klatek, jednym rzutem oka sądzi, wiele ten dom wydał ptaszków. Niektórzy radzili zamykać takowe drzewa w obszer-nych i mocnych szrankach; a to przez uszanowanie, ażeby rozmaici dworscy: jakoto, woźnice, pacholki, kucharze i t. d. nie włązili na nie. Co inni mają za niepotrzebną ostrożność, sądząc: że się tych zdarzeń i ustrzedz niepodobna, i że to bynajmniej drzewom nie szkodzi.

Nakoniec, co do chęci i pobudek zabijania się i kaleczenia się nawzajem, radzi akademija: ażeby powyznaczać osobne na to komisyje, któreby kodex chodzenia i mówienia dla wszystkich mieszkańców przepisały, z postanowieniem: że kto podług wzmiankowanego postępuje kodexu, nikogo nie obraża, i na wojnę wyzywany być nie może. A gdyby kto był, pomimo tego, wyzwany; komisyja ma wziąć wszystkie jego członki pod bezpośrednią swoją opiekę, i żadnego nie pozwoli obcinać, ani szpecić. Ktoby zaś przepisany kodex przestąpił, komisyja roztrząsa i stanowi w

pełném zebraniu: *naprzód*: Czy przestępstwo jest rzetelne? *powtóre*: Jaki ma być członek za nie odcięty? Występującemu więc na plac przepisuje uciąć tylko nos, palec, lub ucho. Czego gdyby przeciwnik nie dotrzymał, i zamiast ucha odciął np. głowę; ma być wyciągniona prawdziwa cena odciętej części np. czy głowa warta jest ucha lub nogi? a jeżeliby odciął nad przepisaną wartość; resztę familii skrzywdzonego winien dopłacić. Na ten koniec ma być postanowiony komitet, który ułoży tablicę rzetelnej wartości członków w rozmaitego stanu osobach, i tę drukiem ogłosi.

## ROZPRAWY SZUBRAWSKIE.

### I.

### Z logiki: Co jest rozum?

#### *Rozmowa w Niemieży.*

Piękna to i pożyteczna rzecz odbywać drogi. Co moment można się czegoś nauczyć, a najczęściej tam, gdzie się człowiek najmniej spodziewa. Ktoby na przykład pomyślił, żeby można w karczmie Niemiezańskiej trafić na mądrą rozmowę? a przecież ja trafiłem, i na dosyć ważną.

Nie z potrzeby ale z nudy, o którą u nas i podczas karnawału nie trudno, wsiadłem do sanek i pojechałem do Niemieży. A że opisującym podróże zawsze się powinien zdarzyć jakiś nadzwyczajny przypadek; więc powiem tymczasem że się i mnie dwa zdarzyły; bo naprzód w pół drogi spotkał mnie wiatr ze śniegiem, a pod samą Niemieżą żyd pocztą jadący. Ten tak pędził trójką, iż mię nie mogącego zdążyć na bok, zawadził na grobli i nielitościwie przewrócił. By-

łaby to właśnie pora pięknego opisanie tych okropnych zdarzeń; ale przepraszam miłośników i miłośniczki podróży romansów, że teraz samę tylko rozmowę w karczmie wiernie i co do słowa opiszę; uręczając słowem autorskim, że nic nie przydadę i nie ujmuję. Wszakże spodziewam się, że literatura nasza nic na tém nie straci, bo ja tak dbam o jej pomnożenie, iż, jeżeli ważne zatrudnienia i nieoszacowane zdrowie pozwolą, wydam krótkie opisanie tej podróży we dwóch tomach in folio, gdzie całą naukę o koltunach obszerne wyłożę i rycinami objaśnię, a gdzie i zdarzenie na grobli z przyzwotem uwagami nie zajmie więcej nad pół tomiku.

Zbliżając się tedy do karczmy spostrzegłem stojące parokonne sanki z miasta, tudzież dwoje san większych, z których jedne miały porządną budę. Wniosłem więc, podług wszelkich prawideł Logiki, że tu musieli być i podróżni i mieszkańcy naszego kochanego miasta, którzy, równie jak ja, uciekali przed nudą. Wszedłszy do szrodka, zastałem kilka osób mocno rozmową zajętych, którą tu umieszczam: odkładając do samego dzieła moje nad nią uwagi.

Ktokolwiek ma choć lekkie wyobrażenie autorskiego kunsztu, przyznać musi; że to jest właśnie pora, dać piękne i obszerne opisanie osób należących do tej gadaniny. Jakoż i ja długo o tém myślałem, ale że tyle ważnych rzeczy w pół arkuszowym świstku pomieścić niepodobna; więc

to odsyłam do prospektu przedsięwziętego dzieła, który myślę zawrzeć w szesnastu arkuszach. Tymczasem zaś tyle tylko powiem, że zastałem na kanapie siedzącą nie bardzo już młodą damę w szubie, z kapeluszem na głowie i z szyją szalem obwinietą. Przy niej siedział podeszły mężczyzna w sutych siwych baranach, z uszatą czapką w rękę. Przy piecu stał w mundurowym surducie młody mężczyzna z ogromną lulką w ustach; a naprzeciw niego w polskim ubiorze i z wyzięciem lisiem futrem mężczyzna otyły, wydający z siebie, kiedy niekiedy, ogromne kłęby tytoniowego dymu. Po izbie przechodził się młody kawaler w jasnym płaszczu, z wielkim kołnierzem o kilku lub kilkunastu piątrach. Drugi, w podobnym ale mniejszym płaszczu i z mniejszą liczbą piąter, stał przy oknie. A że wchodząc ukloniłem się całej kompanii, zatem odклонili się wszyscy, i na moment umilkli. Lecz skorom siadł, a z ułożenia mojego coś dobrego, jak widać, wróżyć począł; obrócił się ku mnie Jęgomość w lisiem rozpiętym futrze, i tak mówić począł:

„Proszę się, Mości Dobrodzieju, z naszych rozmów nie gorszyć, mówimy tu o rzeczy dosyć ciekawej. Proszę, do czego to przyszło. Ci Ichmość, (wskazując na dwóch młodych) utrzymują, że nasz kraj nie dosyć jeszcze oświecony. Mniejsza o to... Ale co gorzej, powiadają, że u nas mało jest ludzi prawdziwie rozumnych. Czy można prawić takie dziwactwa!... Ha! moi Panowie, cóż to WPanowie nazywacie rozumem?“



Spójrzałem więc na obu paniczów, czekając co powiedzą; gdy stojący przy oknie tak się odezwał:

„Któż też tego opisania potrzebuje? Nie masz żadnego cokolwiek okrzeseanego człowieka, któryby nie wiedział co znaczy rozum; a uczeni dawno go dokładnie opisali, chociaż nie wszyscy jednakowo.“

„Dajże pokój twoim uczonym! odezwała się dama; ja ich mam za bardzo niewłaściwych w tej materji sędziów. Ichność cały rozum zabierają dla siebie, a nam nie udzielić nie chcą. Jeżeli się zaś w opisanju nie zgadzają, to dla tego, że każdy pisząc patrzy na siebie, i radby swoich kolegów puścić z niczem. Oprócz tego, Pan Sędzia (wskazując na Jegomości z wyciętym futrem) dobrze mówi, że co innego jest nauka, a co innego rozum. A jabym nawet rozumiała, iż ten ostatni często w nauce utopić i stracić można.“

„Mylisz się, kochanko, odpowiedział Jegomość w siwych baraukach. Chciałaś zapewne mówić o rozsądku, który daleko jest rzadszy jak rozum; którego nauka nie daje; a który namiętności przytłumiają. — Dlatego nie dziw, jeżeli uczeni, w których pospolicie większą jest próżność jak nauka, często się z nim mijają, a niekiedy i rozstają na zawsze. Prawdziwy zaś rozum, nie tylko w nauce nie ginie, ale się owszem przez nią poleruje i zaostrza. Bez niej byłby materiałem surowym, który ma wprawdzie swoją wartość,

ale którą przez przerobienie i wykształcenie podnieść i dziesięć razy pomnożyć można.“

„Może to być, odpowiedział P. sędzia poprawując pasa. Wszelako ja sędzę o rzeczach ze skutku, i przyznam się, że w rozum WPaństwa uczonych nie bardzo wierzę. Jeszcześmy dotąd nie widzieli, żeby się który na co wynosił lub zrobił majątek, a u mnie rozum na tém zależy. Nie prawda? Mospanie assesorze!“ obracając się do stojącego przy piecu Jegomości z czerwonym kołnierzem.

„Prawda, odpowiedział assesor, przedmuchiując cybuch. Ja nawet nie pomnę na co się nauka przyda. Gdybym ja Ichmościów, pokazując na dwóch paniczów, posadził w kancelaryi, albo posłał na śledztwo, pewien jestem żeby zaden nie potrafił. Niepotrzebnie Pan podkomorzy syna i synowca do akademii oddaje. Na co się to przyda? — Koszt tylko próżny!“

„Miałbyś WPan racya, odpowiedział panicz z kołnierzem kilkopiętrowym, gdybyśmy się chcieli formować na assesorów.“

„Żle odpowiadasz, Michasiu, odezwał się Pan podkomorzy — w każdym stanie oświecenie jest potrzebne. Daruj Mości Panie assesorze, jego żywości; nadto jeszcze jest młody, a zatem bez doświadczenia i uwagi. WPanu zaś, jeżeli pozwolisz, tyle tylko odpowiem, że ja mam naukę za istotnie potrzebną; bo tak trzymam, że kto się nie uczy, ten nic nie umie.“

„Przepraszam, zawołał P. sędzia. A myżto, co w akademii nie byli, to mamy nic nie umieć? — Jaż przecie, nie chwaląc się, piąty raz obrany sędzią, i byłem już na dwónastu ekadywizyach? Oprócz tego, człówek w potrzebie i regienta zastąpi. A Ichmość w czém swój rozum pokazali?

*Podkomorzy.* Michaś jeszcze młody i dopiero nauki zaczyna; ale Pan Hippolit, (był to widać stojący pod oknem) znacznie z nauk korzystał. Wcale jestem z niego kontent. Lubi pracę; czyta wiele i zaczyna nie źle pisać.

*P. Sędzia.* Czy tak! — A cóżto Jegomość pisze? — Czy nie Wiadomości Brukowe? — Bo podług WPaństwa, to może i Szubrawcy mają rozum.

*Podkomorzyna.* Nie można im go zupełnie odmówić.

*Assesor.* A zmiłuj się Pani! jeszczeż tego od nikogo nie słyszałem. Sliczny mi tu rozum, wytykać ludziom ich przywary lub ułomności, i z nich się naśmiewać! — A onizto święci? — Ale słyszałem ja, że na Ichmościów jest projekt gotowy. Spodziewam się, że ich wkrótce nauczą rozum, i że się im odechce uczyć go drugich.

*Podkomorzyna.* Nie chcę ja ich bronić, bo żadnego z nich nie znam; ale mi się zdaje, że oni téj pretensyi nie mają i o swoim rozumie nie trzymają tak wiele. Ze się zaś śmieją z ludzkich ułomności lub pomyłek, to może być rzecz nienaganna, aby tylko nikogo w szczególności nie szarpać.

*Assesor.* Znamy my niektórych i zobaczymy się z Ichmościami w swoim czasie (tu assesor zaczął coś nucić pod nosem, i z ukosa spoglądając po izbie się przechodzić).

*P. Sędzia.* Daj im pokój, mój assesorze; to są głowy bez mózgu. Ręczę ci, że żaden z nich niczem nie będzie. Zapłacą im jak warci... Dawne to i dobre przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyspi.“ My tymczasem wróćmy do naszej materyi. Ja, jak jestem przekonany, tak radzę — odebrać te dzieci z akademii: bo się tylko bałamuca i w życiu do niczego nie dójdą.

*P. Michał.* A do czegożbyśmy to inaczej dójść mogli? Toby nam może Pan sędzia radził, aplikować się przy jakim regientie?...

*P. Sędzia.* Dalekoby było lepić. Nie dla tego, żebyście kiedyś w subselliach stawali; bo tego nie potrzebujecie; alebyście się usposobili do urzędów; a gdyby się udało, możnaby pochwycić jaką ważną plenipotencyą, ot i dosyć... Ah! wszakto majątek Mospanie!

*Podkomorzy.* A toż na co? Znałem ja wprawdzie i znam plenipotentów słusznych ludzi; wszelakobym ani synowi, ani synowcowi mojemu takić funkcyi nie życzył.

*P. Sędzia.* Wstydź się WPan! Czy może być co lepszego i rozumniejszego! To są prawdziwie place dla ludzi z głową. Nie widzisz WPan, jak do niektórych prędko i zgrabnie majątek pryncypalów przechodzi? A czy traktował

k który z nich nauki? Jako żywo... To pryncypałowicie się uczą... i jak uczą... uczą się w domu; uczą za granicą! a gdzież ich rozum? Tracą co mają.... a u mnie ten ma rozum co nabywa.

*Podkomorzy.* Prawda! jeżeli nabywa gdzieś... ale...

*Assesor z uniesieniem.* Coto, ale!... ale ja widzę pojazdy, srebra, dostatki, gustowne sprzęty, stół smaczny, dobrane towarzystwo, kosztowne wieczory; a to wszystko jest owocem bardzo krótkiego czasu; czasem zaledwo trzyletniego około interesów mozołu. Moi Panowie, którzyż wasz mędrzec tego dokazał? nawet po najdłuższym życiu i ciągłej pracy! Wiercie mi, wszyscy wasi mędracy są ludzie bez mózgu! JWpanomzeto ich naśladować.

*P. Sędzia.* Dobrze mówisz. Nauka!... to właśnie potrzebny mózół dla człowieka dobrze urodzonego! Napatrzyłem się ja teraz w Wilnie, jak tylko ci, co mają majątek, lub co go robią, są w znaczeniu i poważani powszechnie.

*P. Hippolit.* Mylisz się, P. sędzia, i krzywdzisz naszą publiczność. Są tacy, co się znają na ludziach. Prawda, że są towarzystwa, które tak postępują jak Wpan mówisz i które szacują tylko imię ludzi z majątku, bez względu na sposób, jakim go kto nabył lub nabywa.

*Podkomorzy.* Na nieszczęście i to prawda. Żyjemy w takim czasie gdzie nie wszyscy wzbó-

gacający się wari szacunku, gdzie powstaje bardzo wiele majątków nowych, gdzie wiele dawniejszych domów upadło, a odwieczne ich dobra przeszły w naszych oczach do plenipotentów, komissarzy, i ekonomów. Przecież ja nie sądzę, żeby to było dziełem ich rozumu, albo nawet dowcipu: a tym mniej pocziwego rozsądku.

*Assesor.* I jak jeszcze!... i jakiego rozumu! Zdałby się nam wszystkim taki. Czy widzieliście WPaństwo choć raz którego z tych panów? Wszakto aż miło! Twarz wesola, czoło wypogodzone, protekcyjny uśmiech w ustach; nie sąż to znaki szczęścia i pomyślności? Gdzie który wnidzie, wszyscy powstają; ledwo usta otworzy, otaczają go naokoło. Widać podziwienie we wszystkich twarzach, uszanowanie w każdej postawie, wszyscy spoglądając po sobie mówią nieznacznie... Ot to głowa! — A co do dowcipu, ma go każdy wiele chce. Tylko co ma mówić, już się wszyscy śmieją. A toż nie dowcip? To pewnie nie mają rozumu?

*P. Michał.* Piękny to rozum! — Ja im go nie zazdroszczę.

*Assesor.* Tymci gorzej! — A nasz Pan Pafnucy, niegdys sędzia i goły, jaki potem pan! — a przecież się takim nie rodził.

*P. Hippolit.* Czemuż nie, kiedy w namowie majątki kupował.

*P. Sędzia.* A toż nie rozum! Moi panowie, porzućcie bałamuctwo! — Czego się wy



uczycie? Nie widziacież oczéwiście, że wasz rozum i wasza nauka jest głupstwem? Wreszcie, jeżeli taką macie do nauki ochotę, uczcie się procesu. Toż przynajmniej jest prawdziwa nauka!... to grunt rzeczy!... to sama treść rozumu! — Piszcie dokumenta i dekreta; ale piszcie tak żeby nikt nie rozumiał; albo żeby każda strona była kontenta; — otóż i pewna droga do szczęścia — a wtenczas każdy przyzna, że macie rozum.

*Podkomorzy.* Oj nie, Mospanie sędzio! — Cnotliwi tylko są prawdziwie rozumni. Bo tak się mi zdaje, i tak trzymali wszyscy gruntowni mędracy: że ten tylko jest prawdziwy rozum, który prowadzi do cnoty i na jej pełnieniu zależy. Bo taki tylko rozum jedna prawdziwy i trwały szacunek; taki tylko daje zupełną spokojność sumienia, bez której nie masz szczęścia na ziemi.

*P. Sędzia.* Otóż to mądre koncepta! — Pozwalam, że to rozum W Pana mędrców; ale przywieźno choć jednego do nas na Sty Józef — ciekawy jestem, jak z takim rozumem odbędzie choć jedne kontrakta, albo choć jedną eksdywizyą? Zobaczę, jak w potrzebie dostanie pieniędzy? Dziękuję ja W Panom za taki rozum. — Ot nasz Pan Bonifacy, jak prędko do majątku i znaczenia przyszedł, to mi to rozum!

*P. Hippolit.* Jakto? dla tego że umie z asa trójkę, a z trójki asa zrobić.

*Assesor.* Mniejsza o to; ale wszędzie by-

wa; wszędzie go dobrze uważają, wszędzie cenią wysoko; a co więcej, zawsze ma pieniądze.

*P. Sędzia.* Oj prawda! — Niejednego on panicza rozumu nauczył!

*Podkomorzyna.* A bodaj on zginął z takim rozumem. — W Panże przecie masz syna, i śmiesz chwalić takie postęпки!

*P. Sędzia.* Prawda że mam, ale go do miasta nie oddam. Nie chcę ja, żeby miał taki rozum, jak ci Ichmość, coto jeszcze bez wása a już starych rozumu uczył.

*Podkomorzy.* Ja tego jednakże w nich nie widzę.

*Podkomorzyna.* Wszakże oni panu sędziem w niczém nie uwłaczają; a że są innego zdania, to nie jest grzechem. Ani mój mąż, ani ja, nie jesteśmy W Pana zdania; bo czyż można ludzi złych i występnych rozumnymi nazywać, dla tego że się im dobrze dzieje? — Tym sposobem każdy co się przez kabałę wyniosł; co, dopadłszy choć na krótko urzędu, dobrze się obłowił; co z opieki sierot powstał; co się z pod sądu zręcznie wywinął; co siedzącego na placu poczciwego i szanownego urzędnika dobrze oczernił, lub z miejsca ruszył; co się długów i własnych nawet obligów szczęśliwie wyparł; co sąsiadowi połowę ziemi wydarł, lub go przez pieniacstwo zniszczył; co słabego zręcznie z majątku wyzuł; będzie cudem rozumu.

*P. Sędzia.* Alboż nie tak jest? — Przynajmniej to jest u nas rozum oczéwisty; rozum po-



wszechnie chwalony; rozum prawdziwie użyteczny. A WCPaństwoż rozum, naco się komu przydał? — A jeszcze go macie tyle gatunków; bo podkomorzy powiada, że co innego jest rozum a co innego rozsądek, a znowu co innego jakiś dowcip; mądrość... aż strach słuchać! — U nas jeden tylko jest rozum, ale lepszy od tych wszystkich.

*Podkomorzyna.* Alboż nie znasz, panie sędzia, tych różnic rozumu? — Michasiu, powinienbyś tam już umieć. Czy nie możesz tego panu sędziemu wytłumaczyć?

*P. Michał.* Jeszcze tego doskonale nie wiem. Ale czytałem nie dawno, że: „dowcip ma styczność z pociągiem, rozum upiększa życie, a rozsądek dał szczęściu istność.“

*P. Sędzia.* Przestań WCPan bredzić — co mi tam prawisz za duby? — Ja pogrecku nie umiém.

*Podkomorzy.* Prawda, że to coś naksztalt grecczyzny. Ale dajmy temu już pokój! — Komu w drogę to i czas. Wy dzieci, wróćcie się do miasta, a my, kochanko, jedziemy podobno w jedną stronę z p. sędzią i p. asesorem, więc dokończymy naszą gawędy na noclegu.

## II.

### *Pisma peryodyczne.*

Któż nie wie, jak są potrzebne peryodyczne pisma? Są to umysłowe strawy, któremi nas literackie bractwa w pewnych oznaczonych czasach obdarzają. Więc, zwyczajnie jak na ucztach i biesiadach, nie zawsze dobrzy kucharze, a często i muzyka ładajaka. Gdzie atoli lud do tych dusznych posiłków przywyka; wszyscy ich potrzebują, wszyscy do nich tęsknią, jak głodni do obiadu. Wszyscy więc tę pańszczyznową bazgraninę, jak mogą, czytają. A naprzód, nie można się u nas obejść bez gazet. P. sędzia, p. plenipotent, p. komisarz, p. regient, czytają Kuryera, i to od końca. Polityczne albowiem ludzi obrotu mało ich obchodzą; ale oświadczenia, pozwy, termina taksy i eksdywizyi, są materją bardzo ważną. Dlatego czytają z wielką uwagą; zastanawiają się nad obchodzącemi ich zdarzeniami głęboko; udzielają sobie swoich

postrzeżeń nawzajem: a jako ludzie z głową, rozpamiętywają, jakby z każdej okoliczności korzystać? — jakby ją na intratę nakręcić?

Inaczej czyta p. podkomorzy, p. starosta, cześnik, skarbnik, podczaszy i t. p. Tych całkiem polityczne zajmują widoki. Urządzają świat, przenikają niezgłębione gabinetowe tajemnice; z najmniejszego napomknienia, z jednego słowa, zgadują najskrytsze myśli ministrów. Nic ich przenikliwości nie ujdzie; nie się nie zdarzy, czegoby wprzód nie byli zgadli. Szkoda, że ich nie słuchano; wszystkoby było poszło lepiej. Wszystkie zaś te ważne sprawy odbywają się nieraz przy złyj kawie, mętném lub kwaśném piwie, czasem przy żurowinowym pończu i przy dosyć już u nas zmodnionej a smrodliwej lulce.

Gdy się to dzieje, pani podkomorzyna lub starościana, panny starościanki i t. d. słuchają ciekawie i dziwią się wielkim widokom Jegomości lub Papy. Czasem się wzdrygają i trwożą na ogłos zapowiedzianej przez starostę wojny: wszystko się atoli kończy na strachu.

W miastach powiatowych, tu i ówdzie na pocztowych stacyach, w kawiarniach i po billardach leżą na stole Wiadomości brukowe. Za każdym zgromadzeniem się po ich nadejściu, są śmiechy, są i gniewy. Gdzie niegdzie powstają spory. Ma to pisemko swoich stronników, którzy go bronią; ma i nieprzyjaciół, którzy je łają.

Tymczasem coś się czyta, a to w miejscach takich, gdzie nigdy nie czytano. Zaczynamy z tego powodu rozumować, a zatém i myśleć; a przez to samo dzieje się zadosyć istotnemu zamiarowi wydawców. Uderz a słuchaj, powiedział Eurybiadesowi Temistokles, jeżeliście o nich moi panowie słyszeli?. Otóż łajcie nas, jak chcecie, ale się nauczcie czytać i myśleć; nauczcie się szanować zdanie publiczne i dbać o nie; przekonajcie się, że nieprawe postęпки, choćby najtajemniejsze, wyjawić się muszą i nie ujdą bezkarnie. A naówczas przestaniemy pisać, bo się zamiarowi naszemu stanie zadosyć.

Jeszcze mamy w Wilnie i Tygodnik. Ten dawniej, swojemu imieniu wierny, zjawiał się regularnie co tydzień. Teraz zaledwo co dwie niedzieli czytelników swoich wierszem i prozą częstować raczy. Dlatego Tygodnikiem być nie przestał. Można by wiele powiedzieć na jego pochwałę, ale my wolimy o współtowarzyszu zamilczeć. Oprócz tego nie wypada obrażać pochwałami skromności żyjących, a zatém przyzwoliciej zaczekać jego zgonu, który, jak z coraz większej słabości domyślać się można,cale nie jest daleki — Szkoda — Dopóty u nas ciężko będzie utrzymać się peryodycznym pismom, dopóki tyle tylko będzie czytających ile piszących; bo to podobno jest nasz przypadek. Dlatego dobrzeby było, gdyby tymczasem niektórzy z tych ostatnich przenieśli się do pierwszej klasy. Po-

woli może nastaną czasy lepsze, może się liczba czytających pomnoży, może się nasza proza cokolwiek obrobi i ogladzi, a wiersze może nie zawsze będą boleśne.

Nasz dziennik co miesiąc się rodzi, i to dosyć często! — Poczciwe to dziecko! — Zyczymy mu na przyszłość łatwiejszych urodzin i lepszych kumów, którzyby go trzymali. Opuściwszy lekkie niektóre grzechy, ma dosyć pism pożytecznych i ważnych; za to go też rzadko kto czyta. Bo czego też on chce od nas? — Radby, żebyśmy go czytali, a z kilku arkuszy się składa. Oprócz tego prawdziwie nudny. Najczęściej zawalony jakimś uczonemi rozprawami. — Któżby to czytał? — Nie są wprawdzie u nas poczytniejsze i pisma zabawne, bo nasze damy nie umieją popolsku; a mężczyźni nie mają czasu czytać. A potem, coby też polak dobrego napisał!

A naszze Miesięcznik? — O tym jeszcze nic nie powiemy; dopóki się z sobą nie poznamy lepić. Nie pospolity jednakże kaznodzieja! — Obiecał z naszym szlachcicem latać na łopacie. Zaczém, panie szlachcic, myśl o drodze, i jeżeli się brat Potocki rozgrzeszy wsiąść z tobą na czarownicze narzędzie i w kominy zaglądać, lub Łysą górę odwiedzić, powiesz nam, co was w tej podróży spotka? co tam ciekawego znajdziecie? — Tymczasem zaś, daj towarzyszowi przyszlój podróży przyjacielską przestrożę, żeby na Pęgazie nie jeździł, albo się o lepszego postarał; bo lichój szkapiny, na której występuje

dotychczas, nawet [na Łysój górze nie ścierpią, a u nas nieochybnie przed nią nie tylko wszyscy kominy, ale i uszy pozatykają.

To w naszych stronach. A cóż się to dzieje u naszych braci ościennych! — Jaka szczęśliwa płodność! — I gazety i tygodniki i pamiętniki, i miesięczniki i ćwiczenia naukowe. I nie lada ćwiczenia! — Bo jużci to nie pospolity wynalazek, ćwiczyć nauki! — Niedawno narzekaliśmy na niedostatek pisarzy; na grubą w kraju pomrukę. I sprawiedliwie. Bo też w samą rzecz ciężkie panowało zaćmienie w książkach i głowach, tak jak teraz w kieszeniach. Czego najważniejszą przyczyną było podobno zbyt mocne oświecenie piwnic; z których nieoszacowani przodkowie nasi duszne i cielesne czerpali posiłki; a troskliwi o utrzymanie tego drogiego światła, skrzętnie i cierpliwie podejmowali uczone do Węgier podróże. Ale dziś za to wpadliśmy z jednej ostateczności w drugą. Bo nagle około ostatniego przesilenia zimowego \*) zjawiło się

---

\*) Ktokolwiek czyta z uwagą kalendarze, przyznać musi, iż przesilenie dnia z nocą jest właśnie epoką najważniejszych w przyrodzeniu zdarzeń. Wtenczas równo z zaczęciem kanikuły niezmierne zamącenie w mózgach. Wtenczas niejedna głowa idzie do Bonifratrów z ogromnemi guzami (rozumieć się, podług Galla, z wielkimi zdolnościami); wtenczas się psy i wilki wściekają,



tak wiele pism, które się podjęły z obowiązku oświecać, że nadzwyczajne to światło, słabe i przywykłe do ciemności, oczy nasze nowym razi blaskiem, i to takim, iż, jeżeli się wcześniej cała czytająca publiczność nie opatrzy w baldachinki i umbrelki\*), wszystkim nam nakoniec olsnąć przyjdzie. — Autorowie, jak wielkie jakie świeczniki, sięją a sięją światło, w okrąg po całym kraju; a ja, jeden z ubiegających się za niem, tak się zapuściłem daleko, że ani postrzegł, jak mię wskros przejęło i tak przepętniło okropnie, że mię teraz samego napadła nieodbita chętka pisania i oświecania nawzajem. — Darujcie więc, panowie uczeni, sądzicie jak chce-

a cieleta rodzą i t. d. i t. d. Moźnaby w tój materji napisać prawdziwie uczoną rozprawę, ale odsyłamy po nią do pism naukowych. —

\*) Przepraszam za wyraz *Umbrelki*, który nie jest polski. Nie wiem jakbyto zrobić? Ale należałoby im sprawić jakie piękne nazwisko. Moźnaby je np. nazwać *Ciennikami*, bo ten wyraz ma tok sienników i dzienników, słów prawdziwie polskich. Moźnaby od *przyciemienia*, nazwać je *przyciemkami* lub *zaciemkami*, coby wychodziło na *przyimek* i *zaimek*. Dla bardzo uczonych dobryby był wyraz *oczosłon* albo *wzrokochron*. Dla nas pospółstwa mogłaby ujęć *zastłonka*. Ale że to wyraz nadto pospółty, więc niech będzie *Umbrelka*.

cie, a ja muszę być waszym kolegą. Owszem, zbyt uczona pełność światła tak mię rozpiera i dręczy, że mi pisanie nie dosyć; muszę głośno nauczać, i zachoruję, jeżeli choć w Pacanowie professorem nie zostanę. — Do ciebie się więc udaję, kochany towarzyszu i przyjacielu *Świłtku!* Ty, który obrałeś rektora do sławnej owęj szkoły, ty jeden, możesz dopomóc nieszczęśliwemu bratu twojemu i dać mu tak pożądane miejsce. Nie umiem ja wprawdzie kuć, i nie wiem jakie są kóz pacanowskich podkowsy; ale za to podejmuję się rozszerzać sposób pisania i najczystszy styl kozi. Upewniam cię, iż w każdym wierszu, a przynajmniej w każdym okresie, czytelników moich onem częstować będę. Nakoniec, jeżeli chcesz być kolegą Szubrawcem, wyjednam ci patent i to, jak sądzę, bez trudności, bomy cię tu oddawna arcy-szubrawcem warszawskim nazywamy. A choć ci się zdarza pobłądzić i chwalić niekiedy pisma nie do rzeczy, a ganić dobre\*), wszelako my ci to wszystko, jak kochanemu bratu, przebaczamy. Bądź więc łaskaw! a ja tymczasem wracam do rzeczy. — Myślałem nieraz, coto będzie, jeżeli broń Boże, ta sama choroba, która mię dręczy, po całym się kraju rozejdzie. Jakato będzie praca dla lekarzy, wynaleźć na nią piękne greckie słowo! Jaka pociecha i chwała dla tych, którzy go choć pół łokcia uprzedą? Jaki

\*) Obacz Pamiętnik Warszaw. na rok 1818. No. 2.



piękny w umiejętności przyrostek? Ale dzięki patryotycznym uczuciom wielu naszych pisarzy, ta obawa i te nadzieje są próżne. Przewidzieli oni takie wypadki zdaleka; a widząc snąć na lampach tak nazwanych Argana, albo jeszcze ładniej, *kikietach*, jak się przez kopułę gazową zbyteczna jaskrawość światła tamuje i tłumi, znaleźli sposób obwijania ważnych myśli swoich w dość grubą gazę. Tak chwalebny i ludzki postępek wart jest uwielbienia. Szkoda że u nas niema powyznaczanych nagród za podobne literackie usługi. Niejeden pisarz peryodyczny i nieperyodyczny niewątpliwe ma do nich prawo. Wypadałoby więc chyba odwołać się do obywatelskiej gorliwości czytających rodaków, ażeby się na ustanowienie tak dobroczynnego instytutu skojarzyć i złożyć chcieli. Ale i tu przychodzi mi na myśl, że liczba składających się nie byłaby tak wielka. Tymczasem jabym rozumiał, iżby mogły być nagrodą dwa medale, mniejszy i większy: pierwszy z wyobrażeniem nietoperza, a drugi ciemierzycy. Ci zaś, co zawsze chcą pisać jasno i zrozumiale dla wszystkich, powinni być poniżani i prześladowani wszelkim sposobem; a to przez wzgląd na szkodliwe skutki, jakie ztąd wypaść mogą. Z czego się pokazuje, jak kapłani egipscy, od których wszelkiej mądrości początek, że alchemicy, adepci i kompania, postępowali rozumnie, pisząc naprzód sposobem niezrozumiałym dla innych, a po wydoskonaleniu tej sztuki, i dla siebie samych.

Chwała Bogu, pisarze nasi już wpadają na tę zbawienną drogę.

Rozmaite zaś są stroje, w które ciż pisarze drogie swoje myśli ubierają i obwijają. Bo naprzód, z przyjęciem ubioru francuskiego dla siebie, zaczęliśmy stroić weń i nasze myśli, i ta barwa jest teraz najpospolitsza. Są wszakże, którzy mowie swojej dają strój całkiem niemiecki i pną się jak mogą do transcendentalności, i ci warci są najwyższej nagrody. Doświadczenie albowiem pokazało, iż nie masz na maskowanie myśli i nadanie im pozorów pełności i jawności, doskonalszego i szczęśliwiej wynalezionego stroju. Widać, że niektórzy niemieccy uczeni dobrze chłypnęli nilowej wody, a przez to przystąpili najbliżej do prawdziwego głębokich umiejętności piętna, tojest do egipskiej jasności. Są nakoniec, którzy gardzą i jednym ubiorem i drugim, i wołają krój czerkieski, albo z czerkieska-węgierski\*), jako najłżejszy i najmniej kosztowny. Trudno tylko, na tej maskaradzie myśli, dostrzedz prawdziwej polskiej sukni. Zdaje się albowiem, że używane w wieku zygmunto wskim zupełnie zaginęły. — Za Stanisława wprowadzie Augusta wymyślono krój inny, całę niezły i do naszych potrzeb dosyć stosowny; ale ten nie podobą się, że prosty, i mało jest rzemieślników,

\*) Jest na to wprowadzie inny dobitniejszy narodo-  
wy wyraz, ale staroświecki i troche niegrzeczny.

co go dobrze znają. Owszem, znaleźli się Łowcy autorskiej sławy, którzy pozakładali kramiki czyli tandety wymyślonych od siebie cale cudownych strojów i stroików, któreby radzi wprowadzili w modę. Biada! że na ten lichy towar mało mają odbytu! Inni, jeżeli nie mówie i słowom, to choć głoskom, sprawują to ogonki, to kapeluszyki, to czubki, a nie kontenci, że nam uszy drapią, jeszcze chcą i oczy kaleczyć.

Ale oprócz niepospolitój czyli wolnej, nasze perydyczne pisma pełne są mowy wiązanej, czyli po terażniejszemu *metrycznej* i *rytmicznej*. Ten rodzaj pisarzy niezmiernie się u nas rozmnożył. Nikt już wolno pisać nie chce. I lepiej, że się chwycimy metryczności i rytmiczności; bo też to nudna rzecz, jednym zawsze mówić tonem. Spodziewać się należy, że się wkrótce wszyscy nauczymy śpiewać, i to jedni trochaicznie, drudzy daktylicznie, adonicznie, sáficosznie, a zawsze ślicznie. Owszem, jeżeli ten zapal pójdzie dalej, jest nadzieja, że zupełnie zapomniemy prozy, i w potrzebie, lub gdy się spotkamy na ulicy, prześpiewywać jedni do drugich będziemy. Zachodzi tylko jedna w tój mierze wątpliwość, to jest: że pomimo całej metryczności, trudno częstokroć rozeznać, czy wiersze są poezją, czy prozą. W rozmowie wprawdzie przyjdzie to łatwo rozróżnić, skoro wiersze śpiewać się zawsze będą. Ale w druku wypada prosić Ichmość *Wirtuozów*, żeby zawsze na po-

czatku ostrzegli: czy pismo ich ma do prawdy być poezją.

Nieoszacowani Pegazowi jeźdźcy! pobamujcie proszę ten zapal. Zkąd wam taka ochota do kawaleryi? Czyto zabytki dawniej skłonności? — Zastanówcie się, że pradziady nasze nie z piórem w rękę konno dokazywały: a chociaż niektórzy i na skrzydlatych występowali rumakach, jak Jan i Piotr Kochanowski, ale to były rumaki dzielne, jakich nie każdy dosiędzie. Terażniejsze zaś nasze Pegazy im się więcej mnożą, tym się bardziej wyradzać i powszechnieć zdają. Niekłóre nawet tak są odrażające, iż spójrzyć na nie bez obrzydliwości nie można. Wszelako nieoszacowani ich właściciele na wywłokach tych jeżdżą a jeżdżą. Moznaby się niemal lękać, ażeby, po zejściu Wielkiego Krasieckiego, tudzież Trębeckiego i Węgierskiego, nie zaginął prawdziwy rodzaj skrzydlatych wierzców: ale nam Feliński, Woroniecz, Kropiński i wielu innych, pewną czynią nadzieję, że ten piękny rodzaj utrzymają i następcom swoim nieskazony oddadzą.

### III.

## S y n o n i m y.

*Człowiek słuszny; dostojny; godny; zacny;  
uczciwy; pocziwy.*

W literaturze, kunsztach i naukach nawet, tak są pospolite mody, jak przy gotowaniu. Między innymi więc, zjawiała się od niejakiego czasu moda Synonimów. A jeżeli mogą po innych pismach uczeni i nieuczni, mężczyźni i kobiety składać te kawałki, odcinki, lub urywki mądrego słownika, zacóżby nie mogły Wiadomości brukowe? Sama sława pisma i zrównanie go z innymi peryodycznymi koniecznie tego wymaga. Tak więc okazawszy krótko a gruntownie niezaprzeczone prawo do tego literackiego wyskoku i jego potrzebę, rzucam dalszy ciąg przemowy, a przystępuję do rzeczy.

*Człowiek słuszny.* Możemy się śmiało pochwalić, że nigdzie nie ma więcej słusznych ludzi, jak u nas. Bo gdzie się kto obróci, wszę-

dzie usłyszy daną w lewo i prawo pochwałę „Ach to słuszny człowiek.“ A że ta pochwała daje się ludziom tak rozmaitym, iż niekiedy żadnego nie mają podobieństwa do siebie: myślałem nieraz w duszy: Co téżto przecie ten wyraz znaczy? Szukając znaczenia wyrazu, idzie się naturalnie do słownika; — więc ja do Lindego. Ale tu małym się oświecił. Podług niego *słuszny* jest w znaczeniu prostém to samo co *rosły*; inaczej znaczy człowieka *dostojnego* albo *uczciwego*. Zaraz mi tedy przyszło na myśl, że człowiek słuszny, dostojny i uczciwy są to wyrazy spółznaczne czyli *synonimy*. Ale na tém nie koniec. Snulo mi się albowiem dalej po głowie, że wyrazowi *uczciwy* odpowiada *pocziwy*; wyrazowi zaś *dostojny* odpowiada *godny* albo *zacny*. Więc myślałem sobie: przymiotniki *słuszny, dostojny, uczciwy, pocziwy, godny i zacny* są to synonimy. Otóż i wynalazek! — A choć się ja znam na nim i uważam, że jest nie pospolity, a zatem mógłby jaśnieć nawet w pamiętniku, dzienniku lub miesięczniku; wszelako, niech idzie do Wiadomości brukowych.

Dobrze to jest, powie mi kto; ależ trzeba te wyrazy opisać; wytknąć ich podobieństwo i różnicę. Zgoda. Myślałem i ja o tém, bo wiem co są Synonimy; i chciałem właśnie tłumaczyć się ich sposobem, to jest, co mi ślina do gęby przyniesie; ale nareszcie, gdy się lepiej zastanowił, przyszło mi do głowy, że Wiadomości brukowe są pismem poważném i nie dla lada



kogo pisaném. Przez szacunek więc i szanowanie dla czytelnika, którego ni tém ni owém zbyć nie można, postanowiłem raczej iść za zdaniem powszechném i opisywać podług mniemania naszej publiczności. Otóż, com zebrał, przynoszę, i proszę posłuchać.

Człowiek prawdziwie słuszny powinien mieć cokolwiek dobrą tuszę; bo choć można być z tym przymiotem bardzo suchym, wszelako przystoi słusznym ludziom mieć wzrost piękny, brzuch dobry i nie próżną kieszeń. Pierwsze dwa dary są niejako mundurem słuszności; ostatni istotnym warunkiem; bo chudeuszowi ciężko się wykierować na słusznego człowieka. Człowiek słuszny jest rubaśny; jeździ kareta, choćby za cudze pieniądze; nie wiele mówi, ale *sentencyami*, to jest krótko, z pewnością, powagą i miną nakazującą milczenie i wiarę; na nieznanomych spogląda nieco wyniośle, a przynajmniej poważnie, ale razem łaskawie i sposobem opiekuńczym; na niższych patrzy z góry, to jest, z oznaczeniem zupełném swojej wyższości i godności; jest zaś pokornym, najniższym sługą i nadszkaskującym względem wyższych. Człowiek słuszny zawsze się nazywa od urzędu; bo nawet podług słownika, słuszność idzie razem z dostojnością. Bywa tylko w wyższych i dobranych towarzystwach; lubo to nie przeszkadza, że może niekiedy odwiedzać i niższych, ale chyba *incognito*, i to tylko wtenczas kiedy mają pieniądze. — Człowiek słuszny nie ubiega się o urzędy, ale ma takich,

k którzy mu je gwałtem następują, którzy go zapraszają na nie, którzy cały rejestr nieskończonych jego zasług umieją na pamięć: bo rozumie się, że człowiek słuszny nie jest bez związków; to jest, nie bez znaczenia w magistraturach sądowych i na sejmikach, gdzie każdy słuszny człowiek ma swoich *kondyktowych*; ludzi także słuszných, ale którzy swoje słuszność i przekonanie oddają za dymy.

Człowiek słuszny daje obiady i wieczory, a przynajmniej na wszystkie obiady i wieczory zaprasza, i tam stara się zastępować gospodarza, wszystkim jest rad i wszystkich przyjmuje uprzejmie. Człowiek słuszny powinien grać w *Bostona*; jeżeli wygra, upomina się o pieniądze, jeżeli przegra, nie płaci; bo któżby się u słusznego człowieka upominał?

Nie można być słusznym człowiekiem bez urodzenia i godności: bo jeszcze żaden lokaj, szewc, ani woźnica, słusznym człowiekiem nie został; wyjąwszy przypadek, gdy mają pieniądze i pożyczają; bo naówczas mogą być bardzo słusznymi ludźmi, póki nie pożyczą. — Za to służących i ludzi niższego stanu często nazywamy *pocziwymi*. Zkąd się pokazuje, że człowiek słusznycale nie ma obowiązku być pocziwym. I któryżby też dbał o to! lub chciał znosić tę subiekcyę? — Człowiek *uczciwy* jest od słusznego jednym stopniem niższy, ale daleko wyższy od *pocziwego*. Owszem: człowiekowi słusznemu nie



zawsze wypada być *pocziwym*, ale *uczciwym* zawsze być może. — *Pocziwy* zaś ciężko żeby się wyniósł aż do znaczenia słusznego człowieka; *uczciwym* tylko może niekiedy zostać. Na naszych eksdywizjach, zjazdach granicznych etc., całe zgromadzenie składa się z ludzi *zacznych*, *słuszných* i *uczciwych*. *Pocziwi* tam chyba przychodzą z obliżami, lub w obronie od napaści.

Człowiek słuszny może być dumnym, przykrym, nawet opierzehlwym i niezdolnym; przystoi to jego dostojności. *Uczciwy* i *zaczny* powinien być układnym, owszem, jeżeli można, miłuchnym. *Uczciwość* albowiem wymaga grzeszności, *słusność* się bez niej obejdzie, a *godność* nią gardzi. Jej przystoi raczej powaga, a niekiedy i wyniosłość.

Ludzie *pocziwi* albo nie mają długów, albo je regularnie płacą. *Uczciwi* płacą niekiedy; starają się przynajmniej płacić procenta, a to w celu postąpienia na ludzi *słuszných*; bo ci albo wcale nie płacą, albo bardzo rzadko, i to tylko dla ożywienia kredytu. Pożyczają zaś, gdzie mogą i ile mogą. Ludzie *zaczni* i *godni* są wyżsi nad te wszystkie drobiazgi; wierzycieli swoich odprawują z niechęcią, wżgardą i podziwieniem, że się u nich upominać śmieją.

Ten, co się stara pożyczyć pieniędzy, jest bardzo *pocziwy*, gdy pożycza. Nazajutrz zostaje *uczciwym*, w kilka dni *słusznym*, a w rok *zacznym*, owszem bardzo *godnym* człowiekiem.

Wszyscy obywatele srebrnej sali są ludzie *słuszni*. Między nimi są niektórzy i *dostojni*. Ich praktykanci są *uczciwi*. *Uczciwość* zaś zależy na tem, żeby święcie opłacać obligi kartowe, a nie płacić tym, co gotowe pożyczili pieniądze. Taka honorowa ustawa przeszła jednomyslnie na jakimś sejmie Faraonowym, ale nie wiem dlaczego jest szanowana przez całą naszą publiczność. Ludzie *dostojni*, *słuszni* i *uczciwi* oświadczają eksdywizye, i starają się odprawić wierzycieli z niczem. *Pocziwi* muszą je także niekiedy oświadczyć, ale u nich wychodzą wierzyciele bez krzywdy.

Ile wiemy z historyi, naddziady nasze były *pocziwe*. — Po nich nastąpili ludzie *uczciwi*, jakich mamy obraz po wprowadzeniu elekcyi królów — ś. pamięci ojcowie nasi już byli i bardzo *zaczni* i *słuszni* ludzie. My, nie chwając się, jeszcześmy dalej postąpili w *cywilizacyi* i *polorze*. Coto będzie, jeżeli następcy nasi jeszcze się bardziej wymuskają i oświecą? Co za piękne widoki!

## Z MEDYCyny

### JUROMANIA.

#### I.

*Choroba nie nowa, ale ciężka, dotąd przez żadnego lekarza nieopisana.*

Przyznać potrzeba, że umiejętności fizyczne długo były pomiędzy nami w zaniedbaniu, a z pomiędzy innych sztuka lekarska. Chociaż bowiem w tej umiejętności wsławili się i niektórzy rodacy nasi; wszelako sprowadzaliśmy bardzo długo ten towar z za granicy, tak jak teraz pieprz i imbiér. — Zkąd poszło, iż albo bardzo mało, albocale nie uważano na nasze własne choroby krajowe, z wielkim uszczerbkiem eskułapijuszowej nauki i szkodą biednych współrodaków. — Jeszczeż koltun jak koltun; pisano o nim i w kraju i za granicą; kłócono się oń i potykano, z niemającym rozlaniem, nie krwi wprawdzie i sensu, ale atramentu. Można nawet natrafić w zagra-

nicznych uczonych na bardzo trafne ryciny naszych koltunów, to na głowie, to na brodzie, to na pejsakach; takusieńkich kubek w kubek, jakie przed laty w Częstochowie i Zyrowicach ucinano. Ale *Juromania*, choroba o której mi mówić z obowiązku wypada, żadnego dotąd nie zastanowiła lekarza, tak dalece, że nawet w *apteczce końskiej* najmniejszej o niej nie znajduję wzmianki.

Nie można wprawdzie twierdzić, żeby się ta choroba nie dała postrzegać tu i ówdzie i w innych krajach, lecz tylko *sporadycznie*\*). Ale nigdzie nie jest tak powszechną, tak dawną i tak gwałtowną, jak u nas. Dla czego ją mam, tak jak koltun, za naszą własną chorobę; o czém tak jestem z doświadczenia przekonany, że gdyby nam ją kiedy chciał jaki inny naród odebrać i sobie przywłaszczyć, nie pozwolę i całemu światu dowiodę, że jest chorobą *epidemiczno-endemiczną* samą Polsce i Litwie, a mianowicie księstwu Zmudzkiemu, właściwą.

Śledząc początki tej choroby w starożytnych pisarzach naszych, zdaje się, że lubo już za *Jagiellów* i w początkach wolnych elekcyj tu i

\*) Chociaż niniejsza rozprawa dla samych się pisze lekarzy; wszelako, gdyby komu z nie-lekarzy wpadła przypadkiem w ręce, ma wiedzieć, że choroby sporadyczne znaczą niepanujące, a zatem coś nakształt przypadkowych. —

ówdzie postrzegać się dawała; ale słaba, rzadka i cale niewyraźna; tak dalece, że jęj wybuchnienie formalne i szerzenie się po całym kraju, wieku Batorego nie przechodzi, i właściwie do panowania tego króla należy. Odtąd zaś wzmaęła się ciąęgle i szerzyła coraz bardziej po całym kraju, tak dalece: że i w czasach naszych nie tylko straszna ta dolegliwość partykularne osoby i familie, ale nawet cale powiaty i prowincye niszczy i pożera. Jest ona wprawdzie *endemiczna* czyli miejscowa, tak jak kołtun; ale w niektórych powiatach, jak np. w Lidzkim, Oszmiańskim i Trockim, sposobem *epidemicznym* się szerzy. — Owszem uważałem, że niekiedy staje się zaraźliwą, i naówczas pilnie się przypatrując, można dostrzedz niektórych punktów środkowych, które są niby jakie ogniska (fomites) wyziewające naokoło zarazę nakształt promieni; a do których niepojętą jakąś siłą chorzy pociągani, wszyscy się zbiegają. Takimi środkowemi punktami były dawniej miasta: Lublin, Piotrków, Wilno i Grodno. Dzisiaj oprócz miast gubernskich, które są także bardzo głównemi punktami, każde powiatowe miasteczko jest walnym punkciem. Chociaż albowiem tak trzymam, że *Juronia* wszystkim prowincjom dawniejszej Polski jest właściwa; atoli gdy moje postrzeżenia z granic Litwy nie wychodzą, do niej i o niej tylko mówić będę.

Co się zaś tyczy natury tęg choroby i klasy do której ją odnieść należy, zdaje mi się, że

jest zawikłana i tak rozłożysta, iż się zaledwo w dwóch lub trzech klasach zmieści. — Jest albowiem poczęści nerwowa, przez wzęład na ciężkie cierpienie i nawiedzenie umysłu; poczęści humorowa i wyniszczająca, czyli konsumpcyjna, dla zbytucznych wypróżnień, które ciąęgnie za sobą, poczęści niezrozumiana. Ta ostatnia klasa chorób nie jest wprawdzie od *Nosologów*\*) wymieniona, bo nie wypada; ale jest najliczniejsza. A lubo wypróżnienie zdaje się być raczej skutkiem choroby, która się pospolicie ciężkimi suchotami kończy; wszelako tak jest z nią ściśle spojone, iż jęj koniecznie i nieodstępnie towarzyszy od początku aż do końca; dla czego może się sprawiedliwie uważać za część choroby samęj. Wszakże istota jęj zupełnie jest nerwowa, i należy oczywiście do tego gatunku umysłowych cierpień, w których myśl jedną jest ciąęgle rzeczą zajęta, a o tęg bardzo źle sądzi. Dlaczego podług zdania Boërhawego i jego szkoły, wypadłoby mieć chorobę raczej za gatunek *melancholii*. Ja atoli, postrzegając w niej częstokroć poruszenia i czynności bardzo gwałtowne i prawdziwie szalone, wolę ją raczej mieć za osobny rodzaj *manii*. W czém, spodziewam się, że się zgodzą ze mną i inni pisarze, zwłaszcza praktycy.

\*) Nosologowie są to uczeni lékarze, którzy z powołania szykują choroby w szeregi, i dzielą na półki i kompanie, lub rotę.

### Opisanie choroby.

*Juromania* nie wszystkie osoby, nie wszystkie stany i nie wszystkie konstytucye równo napastuje. Wymaga albowiem pewnego usposobienia, i okoliczności jej wybuchnieniu przyjaznych. To pewna, że dzieci i młodzież aż do skończenia ośmnastego roku, nigdy jej nie doświadczają. Płeć zaś napastuje tak męzką jako i żeńską. Tę ostatnią wprawdzie mniej często, ale nierównie uporzędywiej i gwałtowniej. Co zaś jest szczególnego i właściwego jej samej, a czego nigdy w żadnej innej chorobie nie dostrzeżono, jest to: że jej tylko ulega stan szlachecki. Owszem i między szlachtą, rzadko jej podlegają tak nazwani Panowie; mniej szlachta zupełnie uboga, a najwięcej Pankowie. Ani mogłem do tego czasu dostrzedz, czy to zależy od krwi, która, jak każdy wie, w szlachcie jest insza; czy od sposobu wychowania i życia, czyli też nakoniec od częstszego używania w chłopach specyfiku, o którym niżej mówić będę. —

Ci, którzy są usposobieni do choroby i uleżą jej mają, pokazują wezesań do tego zdolność. Nie widać albowiem w nich owych skłonności, jakie są pospolite innej młodzieży. Nie lubią nauk, unikają służby wojskowej, polowanie ich nie wabi, gospodarstwo nie obchodzi, towarzystwa nudzą; rzadko nawet pokazują skłonność do kart lub butelki. — Lubią tylko owe gniazda *Juromanii*,

o których wspomniałem wyżej, i uczęszczają do nich, jak gdyby jakąś siłą pędzeni. Tu zamykają się wśród zbutwiałych papierów; przeglądają je z największą ciekawością; przepisują, starają się naśladować i nanowo pisać podobne. Tu uczą się skrętnie udawać cudzą rękę; wyskrobywać gładko; rysować na pamięć stare mappy; świadczyć w rzeczach, których nigdy nie widzieli; lub układać, doskonalić i nauczać świadków najetych<sup>\*)</sup>. Nie masz w ich postępkach żadnej jednodajności, żadnej zgody i żadnego związku. Niekiedy, sposobem najmocniejszych melancholików, siedzą w izbie sądowej zamyśleni i jak przykuci; albo się wśród szpargałów po kancelaryach zamykają i uciekają od ludzi. Często znowu, sposobem maniaków wylatują na wieś, biegają jak opętani po polach, bagnach i lasach, to z motyką, to z różnem w rękę; tu i ówdzie

\*) Choć to jest okropna hańba, której wspomnieć bez zgrozy nie można, wszelako trzeba sobie samym prawdę powiedzieć. Są u nas, pomiędzy tak nazwaną drobną szlachtą, świadkowie z profesyi, których nając w każdej sprawie można, a których zajmująca strona uczy, co i jak mają świadczyć, i te poczwary, prawdziwe drożdże rodzaju ludzkiego, przysięgają na to. — Cóż dopiero powiedzieć, że takich świadków słuchają. Tubyto można sprawiedliwie zawołać! *O tempora, o mores!*



zatrzymują się, zamysławiają, skwapliwie czegoś szukają i naksztalt prawdziwych górników, to kopią, to różnem szpikują i dziurawią ziemię. —

Zbierają stare kafele, potłuczone butelki lub garnki, te, jak najdroższe upominki, obwijają z uszanowaniem w papier, noszą po kieszeniach lub zamykają w kufrach i skrzynkach. Często porywają się nagle ze snu; budzą wśród nocy ekonomów i dozorców, zwołują podwozy i ludzi. Z tymi albo wpadają zapamiętałe do lasu, który wycinają i uwożą; albo rozrzucają z zajądłością małe ziemne lub kamienne wzgórki; zacierają wszelkie ich ślady; zębami ich ledwo nie szarpiają. — To znowu, jakimś przeciwnym poduszczeni duchem, ukradkiem w innych miejscach podobne kupki ziemne naksztalt kretów budują, zakopując w nie drogie swoje sprzęty poobwijane w papierki. Niekiedy znowu, poruszeni prawdziwą szaleńców wściekłością, biegają i jeżdżą jak oparzeni z miejsca na miejsce; rozsyłają po różnych domach ze świstkiem papieru gońców; zapisują oświadczenia, przywołują sędziów, napadają na zboża i łąki, zabierają lub pustoszą, wykradają się nocą na rozmaite najazdy, znoszą z niewypowiedzianą wytrwałością głód, upały, lub zimno; słowem, dają niewątpliwe oznaki skończonój i doskonałej manii.

Riedy zaś raz szaleństwo do tego dojdzie stopnia, choroba się niemal wyradza w wściekliwość, a przynajmniej ma niewątpliwe z nią

podobieństwo. Zajadłe albowiem i spienione *Juromany* rzucają się oślepi na swoich sąsiadów lub krewnych i kasają jak moga. A jako wściekli boją się wody i uciekają przed nią; tak *Juromaniacy* drżą przed rozsądkiem i sprawiedliwością, a na każdy jój wyrok wpadają w konwulsye.

A lubo choroba zdaje się niekiedy zaraźliwą, wszelako nie jest gorączkową, ale owszem długą i upartą; jeżeli zaś tu i ówdzie gwałtowna wylucha gorączka, to bardzo na krótko. Anim mógł dostrzedz jakiegokolwiek skórnój wysypki tej chorobie właściwej; guzy albowiem i siniaki, jakie często na *Juromanach* potrzągać można, nie zawsze i nie koniecznie jój towarzyszą. —

Ale najszczególniejsze symptoma tej okropnej choroby, jest nadzwyczajne rozrastanie się, czyli pęcznienie całego ciała, albo raczej takie chorych rozumienie o sobie; a to do tego stopnia, że się nieszczęśliwym wydaje, jakoby własna ziemia była dla nich zamała, a przeto rozpościerają się gwałtem aż do swoich sąsiadów i odpychają ich jak moga najdalej. Słyszałem o jednej damie mocno tą chorobą dręczonój, której się wydawało, iż do szczęściu mil przestrzeni naokoło zajmować powinna. Wiem także chorego, któremu się uroiło, iż nie będzie siedział wygodnie, jeżeli wielkiego lasu swojego sąsiada nie podgarnie pod siebie, i którego ten ledwo znacznym kosztem z sąsiedztwa swojego wyprosił. —

Nieco odmienne są symptomata w płci żeńskiej. Chore albowiem starają się jak najmocniej naśladować postęпки i czynności mężczyzn. Tworzą ustawiczne i coraz nowe projekta; nie dają się powodować ani mężom, ani krewnym, ale owszem kierują i rządzą nimi. Przedsiębiorac coraz nowe zamachy, wydają chorobę nadzwyczajną czynnością. Rzadko siedzą na miejscu, przedsiębiorac ustawicznie i często wielkie podróże; noszą się z papierami z miejsca na miejsce, oblegają sędziów i urzędników publicznych; chwytają ich gdzie mogą, przejmują po domach i na gościńcach, zawsze im tkając jakieś papiery w ręce. Zresztą oprócz biegania z różnem i motyką, cierpią symptomata do tych podobne, jakieśmy w mężczyznach opisali.

### *Rozmaite okresy choroby.*

Chociaż *Juromania* nie zawsze się w jednej pokazuje postaci, ale podług czasu i miejsca w którym panuje, rozmaite przybiera kształty; wszelako mając wzgląd na najpospolitszą postać, można ją podzielić na trzy okresy. Z tych pierwszy z granic lekkiej melancholii nie wychodzi, i odznacza się szczególną chętką do drabowania wszelkiego rodzaju szpargałów, zwłaszcza noszących na sobie cechę starożytności. Chorzy, popolicie jeszcze uważani za zdrowych, osobliwie od tych, co do podobnej choroby wyraźną i naj-

pewniejszą mają sposobność, ubiegają się za temi szpargałami skwapliwie; zkąd mogą zbierają, zamykają się i rozmyślają nad niemi; noszą je po kieszeniach, rozwieszają po ścianach, lub za adwokatami pod pachą noszą, z wielką skruchą i pokorą; odzywają się częstokroć językiem barbarzyńskim i niezrozumiałym, który ich kolledzy nazywają lacińskim. Przybierają nakoniec minę choroby tej właściwą, poczęści poważną, poczęści zmysloną i mistyczną. — W drugim okresie przywdziewają już poważniejszą postać, mało mówią i udają, że niby myślą; starają się wszelkimi sposobami o plenipotencją lub sęstwo, dopóki w trzecim okresie nie wybuchnie szaleństwo, ze wszystkimi wyżej opisanymi symptomatami. Naówczas wyléczenie choroby bardzo jest trudne i niemal niepodobne. Mają się albowiem nie tylko za zupełnie zdrowych, ale nawet za zdrowszych od innych; w czém ich utwierdzają poczynający chorować lub rzetelnie chorzy, o jakich nietrudno. Wszyscy się albowiem około nich kupią; potakują ich postępkom; wystawują je za wzór rozumu i bystrości; kiedy prawdziwi lékarze na tę chorobę zupełnie są nieczylni i milczą. —

## III.

### *Przyczyny choroby.*

Uczeni koledzy moi (bo ja dla nich tylko piszę, mając naturalnie innych za nic) wiedzą: że przyczyny chorób mają także swoje przyczyny, a te jeszcze inne, aż do takich, których nikt nie rozumie: bo na tém treść umiejętności zależy. Otoż, żeby ze mną nie postąpili, jak zazwyczaj z innymi kolegami postępować zwykli, to jest: żeby nie rozumieli, że sami tylko mają rozum, niech raczą uważać, że i ja, podług wszelkich prawideł kunsztu naszego, odkopałem i wynalazłem i bliższe i odległe przyczyny *Juromanii* (causae praedisponentes et occasionales). Uważałem albowiem nasamprzód, że pierwszą przyczyną usposabiającą jest brak zatrudnienia, czyli życie nieczynne i bez celu. Jakowój przyczyny może być przyczyną samo położenie kraju nie jeograficzne wprawdzie, ale nibyto statystyczne, niby polityczne. Długość albowiem i szerokość jeograficzna nic nie znaczy; ale tak mi się zdaje,

że póki świętej pamięci przodkowie nasi, raz wraz na granicy pałasikiem machać musieli, o Juromanii ani słyhu nie było. Do czego należała bardzo wiele i ówczasowa dyeta, czyli po prostu, sposób życia. Bo prawdę mówiąc, kiedy na wojnę dostojne antenaty nasze oklep z torebką kaszy i paskiem słoniny ruszać musiały, była to cokolwiek ściślejsza dyeta, niż osadzenie kogoś po angielsku na samych biefstykach i porterce. Była przy tém i agitacya: bo się często dybało po kilka mil na dzień; a przytém trzeba też było i konia wychędożyć, napoić, nakarmić i zawerbować cokolwiek strawy dla niego i dla siebie. Co utrzymywało krew w przedziwnej cyrkulacyi; zapobiegało wszelkiej surowości (cruditas) i ostrości humorów (acrimonia); przy tak zdrowej dyecie, pomagało do odwrócenia choroby i częste a obfite krwi puszczenie; nie koniecznie w maju, ale kiedy Bóg dał. Co się działo za pomocą obszernych ran i ostrych narzędzi, dla wypuszczenia grubszych części krwi, a to najwięcej w bliskości głowy, jako części najwięcej cierpiącej. Operatorami zaś byli naówczas Tartarowie i Turcy; nie Włochy i Francuzy, jak w czasach późniejszych...

Z czasem, kiedy posilając się coraz bardziej starostwami, a polykając ich z łaski królów, to po parze to po tuzinku; poznaliśmy i miodek i winko węgierskie, a potem powoli i kucharzów francuskich; kiedyśmy zaczęli posyłać za siebie na wojnę chamów naszych, a sami się to dobrém

piwkiem, to miodkiem przy kominku zasilali; zaczęły się i humory zagęszczać, i czupryna języć (oczéwisty znak ostrości) i *cruditates* zbierać. Tak zaś zagęszczone, a ostre i czupurne humory, głowy napastować zaczęły. I konieczność: bo zagęszczona i zepsuta krew przez spoczynek i dobrą strawę, a przez miodek i ciepłe piwko nagle popędzona do głowy, tam osiada, zatrzymuje się, nabywa ostrości, i jeżeli wcześniej spuszczone nie będzie, fatalne skutki sprawić musi; bo mózg drażni, zaognia, przewraca. Z jakowego to zaognienia i przewrócenia mózgu, wynikają wszystkie *Juromani* symptomata.

Nadto byłaby rzecz długa i obszerna, rozbiierać i uważać przez szczegóły wszystkie części mózgu, okazując jak każda z nich cierpi, i jak się ztąd poczynają i rodzą rozmaite a liczne *juromani* symptomata. Nieuczni by mię nie zrozumieli, a uczonym przecie chciałbym zostawić coś do myślenia, i różnić się przez to od innych autorów, którzy nadto skrupulatnie wszystkie drobiazgi czytelnikom swoim obszernie i dowodnie tłumacząc, nie przyznają im tém samém ani za grosz rozumu. Ja zaś wszystkich moich czytelników tak szanuję i poważam wysoko, iż, sposobem innym pisarzom całkiem przeciwnym, radbym im nic nie powiedział, pewien iż się sami wszystkiego domyślą.

Ale skromność na stronę, przecież to powiedzieć muszę: że mocniej się zbierają i za-

trzymują gęste humory w téj części mózgu, która się nazywa *glandula pinealis*, a która, jak Kartezyusz niewątpliwie dowiódł, jest rezydencją duszy. Owoż każdy z czytelników moich zaraz zrozumie, że im więcej grube owe humory téj części mózgu rozpychają, tym duszy ciasniej być musi; a ztąd rodzi się owo czucie ciasności i potrzeba albo raczej chęć rozszerzania się aż do najodleglejszych swoich sąsiadów, i zajmowania kilku mil w około siebie. Ztąd także wynika owa niespokojność, za którą idzie latanie z motyką po polach i łąkach, lub uciekanie od ludzi i zamykanie się ze szpargałami i t. d.

Czyż nie widzisz z tego tłumaczenia, kochany czytelniku, jak natura jest prosta, porządna, i wszystko akkurat tak robi, jak my widzimy. Piękna to rzecz umieć tłumaczyć naturę, i chwala Bogu, że w terażniejszym czasie wszyscy to umiemy. Nadewszystko wszędzie się przekonujemy, że przyrodzenie nieskończenie jest mądre, a przekonujemy dla tego, żeby się pochwalić nieznacznie, że i my mamy rozum. Ale przepraszam, jest to, jak widzę, choroba autorska, zapuszczać się ustawicznie w filozoficzne uwagi; więc dajmy pokój tym andronom, a wróćmy do rzeczy.

Można tedy dysponujące przyczyny *juromani* przywieść najistotniej do trzech, a te są: 1) Niedostatek pracowitego zatrudnienia młodzieży. Chcąc tę przyczynę rozbiierać na inne



przyczyny nadto bym się zapuścił daleko. Za-  
tém, *sat sapienti*. 2) Złe wychowanie, téj mia-  
mowicie młodzieży, która w dalszym wieku *ju-  
romanii* ulega. Dawniej albowiem, całe to wy-  
chowanie kończyło się na nauce łaciny, do któ-  
rójby się żaden stary Rzymianin nie przyznał; a  
potém na noszeniu papierów za adwokatami i  
przepisywaniu szpargałów po kancelaryach sądo-  
wych, i ta ostatnia przyczyna trwa w całej mo-  
cy dotychczas. Te zaś zbutwiałe i przegniłe  
szpargały wyziewają, jakem się przekonał, jakąś  
promienistą istotę, nakształt materji magnetycznej,  
niezmiernie szkodliwą, durzącą i równie mocno  
zmysł czyli organ rozsądkowy rażącą. 3) Miłość  
kuflów, szklenie i wiwatowych puharów, która  
się nabywa, umacnia i doskonali na kondescen-  
sych, sądach granicznych i ekadywizjach; na  
których się *juromaniczna* zaraza poczyna, do-  
skoonali i szerzy najmocniej. — Moźnaby jeszcze  
dodać i czwartą przyczynę, to jest: niedostatek  
lazaretów, w których się wcześnie i w samych  
początkach wybuchającej chorobie zapobiega, a  
to przez zręczne i dostateczne użycie przerwa-  
tyw. Lazarety te, które nieoświecone pospółstwo  
domami poprawy nazywa, pokazały się dziwnie  
skutecznemi w innych krajach, gdzie się téj fa-  
talnej chorobie nigdy wkorzeni nie dano. Ale  
że uważam, iżby mi którykolwiek filozoficzny  
czytelnik mógł zarzucić, że nieleczenie choroby  
nie może być uważane za jej przyczynę, a ja się

z uczonymi kolegami moimi kłócić nie myślę,  
więc i o tém tymczasem zamilczę.

### *Rozbiór ciał zmarłych.*

Powiedziałem wyżej, że *juromania* jest  
chorobą długą, co tak jest wielką prawdą, iż  
chorzy ci pospolicie żyją póki chcą, a przynaj-  
mniej nierównie dłużej niżby chcieli ci, co z  
nimi mają do czynienia. A że nie tylko sami  
się mają za zdrowych, ale ich uważają za takich  
i ci wszyscy, co ich otaczają; zatem niepodobna  
jest dobrać się do nich z anatomicznym noży-  
kiem. Ile atoli i sam dostrzedz mógłem i z ak-  
tów niektórych rozplatań prawnych doszedłem,  
następujący jest stan ich machiny.

Naprząd wszystkie części ciała ważniejsze,  
jak nogi, ręce i żołądek, przedziwnie są zdro-  
we; wnętrzności zaś niemal skamieniałe. Krew  
zła, czarna, gęsta i mocno żółcią zaprawna.  
Serca zepsute i jak szpargał jaki zbutwiałe.  
Riformacya zaś głowy szczególna, jakiej się i  
Morgagniemu widzieć nie zdarzyło. Czola albo-  
wim bynajmniej nie mają, nos donośny, uszy  
długie zawsze sterczące. Mózg nadzwyczajnie  
twardy i wysuszony. W miejscu zajmującym u  
*Galla* organ chciwości i złodziejstwa, są dwa  
ogromne kopce, które łączy szeroka, tu i ówdzie  
przeorana miedza. I to stanowi niemal całą  
substancją mózgową. Ta zaś substancya zawi-

niona jest w dwie błony, gęsto upstrzone rozmaitego koloru plamami naksztalt mappy. Anatomicy dobrze wiedzą, iż jedna z nich nazywa się *dura*, druga *impia mater*. *Glandula* zaś *pinealis* (już czytelnik wie co ona znaczy) leży między dwoma kopcami na miedzy; czarna, zapchana i jak pień twarda.

### III.

#### *S p o s ó b   l é c z e n i a .*

Czas już, kochany czytelniku, przystąpić do najważniejszej części naszej rozprawy, to jest: do sposobu leczenia. Jestto rzecz nie bardzo łatwa, zwłaszcza w terażniejszym przypadku: bo wiesz dostatecznie, że ja pierwszy zacząłem mieć uwagę na tę okropną, a na nieszczęście cale nie rzadką dolegliwość; a zatem nie wiele się mogłem nauczyć od poprzedników moich; ale sam postrzegać, zewsząd zbierać i znosić do kupy, jak kwestarz z sakwą, musiałem. A naprzód trzeba żebyś wiedział, że u nas każda kuracya jest dwojaka; to jest: albo *rationalis* (rozumna), albo (proszę nie rozumieć, że nierozumna, ale) *empiryczna*: co znaczy do słowa, oślepi namacana. Tamta układa się podług znajomości przyczyn; na tę zaś natrafiamy przypadkiem: raz my, drugi raz poczciwe nasze starszki. Bo to zależy od szczęścia; tak jak wy-

granie w loteryą, albo uchwycenie kogoś w *ciuci-babkę*.

A ponieważ się pokazało, iż nieczynność, zwłaszcza starój młodzieży, najpierwszą jest choroby przyczyną; że dopóki trzeba było wywijać, nigdy o nią nie słyszano; więc istotna i najpierwsza rzecz jest, znaleźć dla dysponowanych do tej dolegliwości, przyzwoite w młodości zatrudnienie. Uważałem zaś, że niemasz przeciwniejszego stanu tej chorobie, nad stan wojskowy; dlatego niezleby było, tylko co poczynających chorować dobrymi sposobami do wojska nakłaniać; chorujących zaś, gdy inne sposoby nie pomogą, brać prosto pod karabin. Ten ostatni sposób, ręczę, że w przypadkach najgorszych, i zdesperowanych nawet, nieochybnie pomoże. A że w każdej kuracyi, nie na lekarstwo tylko, ale na pokarmy i napoje największy mieć wzgląd należy, zatem osadzenie dających pierwsze znaki choroby, na chlebie i wodzie, lub na samój kaszy, przez kilka miesięcy, bez przerwy i folgi, bardzo także jest skuteczne, i nigdy zawieść nie może. — Wszystkie rozpalające trunki, piwa nawet i miodu nie wyjmując, powinny być jak najmocniej zabronione; a natomiast pozwolona jak najobficiej czysta źródlana lub rzęczna woda, jako *odwilżająca* (humectans), *chłodząca* (temperans), *rozrzedzająca* (diluens) i *wyprowadzająca* przez poty i urynę wszelkie ostre i zepsute humory. Przytém, ponieważ cała ostrość idzie w tej chorobie do głowy, która się mocno zapala

i zaognieniem grozi; przeto chorzy powinni ciągle chodzić z głową należyście wygoloną; siedzieć w wyżej opisanych lazaretach, gdzie im należy głowę wodą zimną jak najczęściej zlewać. O suszenie zaś jej lękać się nie potrzeba, jeżeli chorzy są żonaci; jeżeli nie, wypada im koniecznie dać żony, nie tylko dla suszenia głowy, ale dla rozbijania wszelkich *juromanicznych* myśli. Tak albowiem rozumiem, że na to nie ma w całej medycynie dzielniejszego i pewniejszego środka.

Są, którzy sposobem używanym w innych maniakach, wiązać chorych i zamykać radzą. Jakowy sposób nie byłby wprawdzie zły i bezskuteczny; ale z wielu przyczyn trudny jest do wykonania, zwłaszcza, dla mnóstwa chorych, którzyby się chyba nawzajem chwytać i pilnować musieli, tak, jak się dziś nawzajem sądzą i ochraniają. Myśląc więc długo i biedząc się nad wynalezieniem najskuteczniejszego na ciężką tę dolegliwość lekarstwa, i już prawie rozpaczając: trafiłem szczęściem na jedyny, rzadki i prawdziwie nieoceniony starożytny rękopism; nie w spróchniałem wprawdzie znalezionym drzewie, ale który mi jeden z Wielebnych JJ. XX. bonifratrów łaskawie udzielił raczył, jako w ich składzie czy bibliotece znalezione. Rozczytawszy się w tym rękopiśmie łacińsko-polskim, dowiedziałem się z prawdziwą pociechą, iż autor, równie jak ja, zatrudnił się leczeniem *Juromanii*; zebrał niektóre postrzeżenia dosyć ważne; a nadewszystko opisał prawdziwy na tę chorobę *specyfik*, którego

nawet rysunek przyłączył. Specyfik ten, jak twierdzi kochany autor, trafem, równie jak wszystkie szczęśliwe wynalazki, odkryty został na Zmudzi, przez jakiegoś poczcziwego ekonoma. Odżalować nie mogę, że nam autor nie dochował nazwiska tego wielkiego człowieka. Tylem się tylko z niego dowiedział, iż JPan ekonom pierwszy postrzegł nieocenione skutki tego specyfiku w naszej chorobie; tudzież że nie był Zmudziem, ale wędrownym Mazurem; co czyni prawdziwy zaszczyt tej prowincyi i pokazuje, jak posiada oddawna wielką do głębokich umiejętności zdatność.

Rozpatrując się więc tak w opisanu, jako i rysunku wzmiankowanego drogiego specyfiku, przekonałem się, że to jest roślina u botaników nazwana, *flagellaria bizunoides Linnei*, i przekonany jestem coraz mocniej, że się nie pomylił: bo wizerunek specyfiku bardzo jest trafny. Roślina ta najobficiej się przedtem znajdowała i była najskuteczniejsza około grodu *Bisunopolis*, starożytniej jak widać osady greckiej, którą późniiej w czasach upadku nauk i powszechnym barbarzyństwie wieków, *Bockami* przezwano. Dziś już się więcej w tej okolicy nie udaje, a przynajmniej nie jest tak skuteczna; co pokazując, że z upadkiem nauk i gustu zaniedbano jej uprawę.

Tu autor rękopismu pozwala sobie ważnego ustępu, w którym mówi, iż mu się zdaje, że podobnego specyfiku użyto na wyléczenie sławnego

*Rolanda*, którego chorobę powszechnie znajomy krotofilny pisarz włoski, *Ariosto*, w rymach swoich pięknie i wiernie opisał. W tém się tylko nieposzlakowany zkadinał autor pomylił, iż podług niego, rozum *Rolanda* znalazłono aż na księżycu, opieczętowany w bardzo delikatnej banieczce, a potem mu skrępowanemu przez nos do głowy puszczone; ale, pozatykawszy wprzód szczerlnie inne otwory, ażeby tak subtelny dymek z wiatrem nie uleciał. Wszakże ta powieść najmniejszej nie znalazła wiary: gdyż wszystkie akademie z całego świata jednomyślnie się zgodziły, że po rozum na księżyc jeździć nie potrzeba: bo one mają przywilég na to. Dlatego dowcipniejsi pisarze uważali tę kuracyą za allegoryą, znaczącą po prostu, iż dobrym szczutkiem, albo kułakiem w nos, pomienionego francuza uleczono. — Ale i to zdanie uważamy teraz za błędne. Inny albowiem doskonały, równie wierny, a niemniej dowcipny pisarz włoski dowiódł: iż się jego ziomek *Ariost* pomylił, i że *Rolanda* uleczono za pomocą bardzo dzielnego lékarstwa i ostrój dyety. Oto są jego słowa:

Ad Orlando ritornaro la sanitate  
Molta aqua, poco pane, e bastonade.

Co ś. p. rymopis nasz Szurłowki tak wytlumaczył:

W Rolandzie wyleczyły zawrot głowy srogi,  
Mało chleba, dość wody, a częste batogi.

Ale i tu, darujesz nieoszacowany czytelniku,



że cokolwiek zбочę, choć to, co powiem, niekoniecznie będzie od rzeczy. Nie mogę albowiem przewieść na sobie, żebym się przed tobą nie wynurzył, iż mi się ta kuracya włoska niezmiernie podoba: nie tylko albowiem w całym swoim układzie pełna jest doskonałej mądrości, ale i doświadczeniem wielokrotném stwierdzona. Rozumiałbym przeto, że ta sama szczęśliwa metoda mogłaby być użyta niemal we wszystkich cierpieniach głowy i serca, które uczeni nasi sąsiedzi od Zachodu chorobami *psychicznymi* bardzo mądrze i doskonale nazwali. Choroba albowiem *psychiczna* znaczy to samo, co choroba duszy; a że my chorując umieramy, więc pokazuje się, że u naszych sąsiadów i dusza jest w niebezpieczeństwie i ulega zepsuciu. Czemuby sposób użyty na *Rolandzie* niewątpliwie i bardzo skutecznie zaradził. Ja im zaś z serca dobrego zdrowia i smacznego apetytu życzę; i tak sądzę, że i ty, kochany czytelniku, tego samego będziesz zdania; tymczasem zaś, żebym cię długim ustępem nie nudził, wracam do rzeczy.

Otoż powiedziałem ci, że pod Boćkami specyfik nasz częścią zagał, częścią stracił dawną swoją wziętość. Jakże temu zaradzić? Jest na wszystko sposób. Oto bezimienny nasz autor powiada, iż od niejakiego czasu, ta sama roślina bardzo się udaje i pokazała się dziwnie skuteczną nad *Donem*; tudzież, że nierzadcy już są na brzegach téj rzeki sławni lekarze, którzy się ze wzmiankowanym specyfikiem umieją należycie

obchodzić, używając go bardzo szczęśliwie i zręcznie. Stosownie więc do tego postrzeżenia, następujący ułożyłem plan kuracyi.

Ponieważ wielu chorych naszych wysłać zwykliśmy po zdrowie do rozmaitych zagranicznych źródeł; więc odtąd do liczby wód bardzo zdrowych i skutecznych należy dodać i wody Dońskie, do którychbym radził odsyłać na przyszłość wszystkich chorych psychicznych, dodając tam każdemu, dla *consilium*, po dwóch lekarzy. A że teraz o innych chorobach psychicznych mówić nie myślę, zostawując to powolniejszemu czasowi, i do samej się tylko *juromanii* ograniczę; radbym, żeby tym chorym w każdym zdesperowanym przypadku, koniecznie nakazać podróż do Donu; a gdyby się opierali, przez miłość bliźniego, gwałtem ich tam zawieść. Potém, dla pełnego *consilium*, dodać im przynajmniej po trzech lub czterech lekarzy. Mędrcy ci, prawdziwi potomkowie Eskulapiusza, mają nawet poważną jego postać, tojest: brodę dostojną; a specyfik zawsze dla prędkiego ratunku noszą za pasem. Tam tedy, osadziwszy chorego na wyżej opisanéj dyecie, życzyłbym nurzać go często w Donie: głowę, jako część ciała najmocniej cierpiącą, ogolić i przynajmniej trzy razy na dzień mocno wodą dońską zlewać; a potem choć raz na tydzień np. co piątek dawać, w przytomności całego *consilium*, przez jednego z człon-

ków, po 50 dobrych kropel\*) *specyfiku*: a lubo taka doza mogłaby się niektórym niedoświadczonym i bojaźliwym lekarzom wydawać zbyt mocną; ja atoli uręczam, że żadnemu choremu nie zaszkodzi, i że każdy po kilkumiesięcznej kuracyi w zupełném zdrowiu i z przedziwnym apetytem odjedzie. Zkąd chorym i krajowi pożytek, wodom mineralnym wieczna sława, a wynalazcy specyfiku niewygasła wdzięczność.

P. S. Na tém się wszakże, kochany czytelniku, rozprawa moja nie kończy. Dla dopełnienia albowiem dzieła i przysługi Prześwietnej publiczności umyśliłem zebrać niektóre szczególne téj choroby przypadki, i historią ich, ile siły pozwolą, wypracować. A że tak wielkie i ważne przedsięwzięcie siły jednego człowieka przechodzi; zatem wzywam wszystkich uczonych, a o dobro powszechne troskliwych, czytelników moich, lekarzy i nielekarzy, ażeby, jeżeli się im zdarzyło lub zdarzy postrzedz gdzie i uważać podobnych chorych, najdokładniejsze, ile być może, opisanie ich cierpień do redakcyi Wiadomości brukowych przesyłali. Za co pamięć ich nigdy w historii sztuki lekarskiej nie wygaśnie.

---

\*) Spodziewam się, że czytelnicy moi są wszyscy ludzie uczeni, a zatem wiedzą, że kropla od kroplenia pochodzi.

## D Z I E N N I K

*ostatniej podróży szlachcica na łopacie.*

---

### §. 1.

#### *Obwieszczenie.*

Ja niżej na podpisie wyrażony, szlachcic na łopacie, znajomy już poczęści światu przez moje latanie bez skrzydeł; po odbyciu rozlicznych wypraw w różne a różne strony, powróciłem nakoniec do domu bez szwanku i osiadam nanowo na górze Zamkowej. Pałając zaś chęcią służenia Prześwietnej publiczności i nadal, a nie chcąc się w obserwatorium mojem oddać gnusności, którejem się wyrzekł przy pierwszym wyleceniu na powietrze, jak złego ducha na chrzcie; kurs obserwacyj moich rozpoczynam nanowo i już nastawiam teleskopy na różne strony. A zatem ostrzegam Prześwietną publiczność, aby się miała na baczności. Tymczasem, gdy w podróżach

moich do niektórych części świata i położonych w nich krajów, prowincyj, miast, miasteczek i wsi, nabierałem i nakładłem to do głowy, to do torby bardzo rozmaitych rzeczy; — gdy, spuszczać się, to w dzień, to w nocy przez komin; wpadając przez otwarte okna, lub wciskając się przez szybki; nocując często na poddaszach lub za parawanem w samychże pokojach napatrzyłem się rozlicznych przygód ludzkiego życia, i nasluchałem, Bóg wie czego; a zatem zważałem poczęści przyrodzenie człowieka i słodkiej jego połowicy; — gdy, bawiąc czas długi w księstwie żmudzkiem i przestając tam z wielą uczonymi, mianowicie w sądach i kancelaryach, wydoskonalilem się w strojnym stylu polskim; — gdy nadto, przez kilkokrotne zwiedzenie Babilonu, nauczyłem się wielu słów nowego kroju, które nadają prozie i wierszom prawdziwą szczytność (górnosc) a myślom, poufałym nawet, niepospolitą pękatość (nadętość); — przeto obciążony takim zapasem światła, nauki i smaku, postanowiłem ulżyć sobie nieco, rozsypując te zbiory po mieście i kraju. To jest: stosując się do ducha naszego wieku, przedsięwziąłem wydawać peryodyczne pismo? — Oto, żebym starganych sił moich nie nadużył i czytelników nie utrudził, myślę raz w rok, około Nowego roku, wypuścić z pod prasy tomik jeden; nie wielki wprawdzie, ale ważny, ładny i bardzo uczony; o czém słowem szlacheckiem upewniam. Rozumiem..., powie może literat jaki: to będą roczniki? — Bar-

dzo przepraszam; poco mi takie koncepta? — Ja wiem, że od niepamiętnych czasów wychodziły u nas właśnie raz na rok kalendarze, pisma prawdziwie peryodyczne, które ojcowie i dziady, babki i prababki nasze, nie tylko z wielką czytały ciekawością, ale nawet zapisywały w nich rozmaite peryodyczne i nieperyodyczne zdarzenia, nigdy ich dlatego rocznikami nie nazywając.

Krótko mówiąc, ja szlachcizę z łopata, idąc za przykładem przodków moich, zamyslałem wydawać kalendarze, nie polityczne wprawdzie ani gospodarskie, bo kto by się tam trudził takimi fraszkami! — ale stosownie do tegoczesnej mądrości, *encyklopedyczne*. A cóż to dziwnego? — Czy ja nie widziałem, jak po wielkich uniwersytetach encyklopedyi uczą! — A potem, w moim kalendarzu będzie wszystko a wszystko; a czasem jeszcze i coś więcej. I dlatego na okładce, która będzie ciemno popielatego koloru z niejaką pstrocizną, ujrzy czytelnik wymalowany *ad vivum* chaos, jako porządny zbiór wszystkich rzeczy. Lecz że tak ozdobne dzieło potrzebuje mocnych literackich pomocy, to jest: cokolwiek głowy a dużo pieniędzy; zatem ja całe przedsięwzięcie moje zaczynam od otworzenia prenumeraty, a po liczbie prenumeratorów pomiarkuję jak będę miał pisać. Jeżeli by się zaś Prz. publiczność znała na rzeczy, tedy w pierwszym zaraz numerze wytłoczę wielkimi literami imiona, nazwiska i dostojęństwa wszystkich JJOO. JJWW. WW. i mnie wielce Mciom panów pre-

numeratorów i Dobrodziejów. Otóż, patrz czytelniku! jeden numererek tak pięknego dzieła nie będzie kosztował więcej nad sześć srebrnych rubelków. — Prześwietna publiczności i płci nadobna! do ciebie się odwołuję, jak w teatralnym affliszu. Widzisz we mnie prawdziwą i żarliwą chęć służenia Ci koniecznie (bo o sześć rubelków się nie mówi, to bagata!). Więc racz pomyśleć, ażeby tak wielkie, tak chwalebne, tak chlubne (zaszczytne) dla narodu przedsięwzięcie nie upadło. A jeżeli upadnie, to dali Bóg nie moja wina. —

*Plan dzieła, jaki mi się snuje po głowie.*

Ponieważ kalendarz zamykać będzie rozmaite rozmaitości; przeto żeby rzeczy nie były pomieszane jak groch z kapustą, podzieli się, trybem wielkich i porządných dzieł, na kilka części; a mianowicie:

*Naprzód. Na część czasową.*

W której się ułożą dni każdego miesiąca podług balów, maskarad, redut, tańczących wieczorów, pikników i innych tym podobnych zabaw i uciech. Przy każdym z takowych dni położy się ostrzeżenie, jak długi będzie wieczór; tudzież dla wiadomości woźnic, jaka będzie pogoda: samych albowiem Pań i Panów cale się to nie tyczy. Redaktor przeto uprasza wszystkich dam i znakomitych osób, aby mu raczyły przysyłać corocznie wiadomość: kiedy myślą dać obiad, wieczór, kawę lub herbatę, dla umieszczenia w kalendarzyku.

A nadewszystko, ponieważ się teraz na pięknym świecie dają imiona chrzestne, których nikt w żadnym pospolicym kalendarzu nie znajdzie; upraszają się damy i kawalerowie pięknego imienia, aby mi krótką o swoich świętach wiadomość przesłać raczyły lub raczyli; a to, dla umieszczenia w mojej Encyklopedyi. Ja także z mojej strony umieszczę niektóre imiona całkiem nowe, jakie wywiózłem świeżo z Azji i Afryki, a jakie się nawet do nowych romansów przydać będą mogły. Tym sposobem, każda dama za przetrzeniem kalendarza wiedzieć będzie, wiele strojów i nowych sukien na cały rok potrzebować może, i wcześniej mężowi poda rachunek, zastrzegając sobie drugie tyle, na nieprzewidziane wydatki.

Pod tą samą rubryką wymienia się wszystkie szczęśliwe dni i feralne, a mianowicie: w których można ostrzygać, przypiekać, lub farbować włosy? Kiedy najlepiej robić peruki i peruczki? kiedy obcinać paznokcie i nagniotki wyrzynać? W które dni wyjeżdżać na spacer? oddawać wizyty? lub przyjmować? W które można grać szczęśliwie? a szczególnie kiedy w éwika lub kontra, wiska lub bostona, a kiedy w maryasza? W które dni kłaść suknie ciemne, a w które jasne? kiedy jakich używać pomad i wódek pachnących? i tysiąc podobnych rzeczy, wszystkich wyrachowanych z aspektów niebieskich, tojest: rozmaitego humoru i sposobu myślenia gwiazd i księżycy.

Pod tą samą rubryką, wyszczególnią się dni



kontraktowe (niech to nikogo nie straszy! będzie to jedynie ostrzeżenie kiedy wyjechać) dni kiermaszów czyli jarmarków, z doniesieniem: czy tam będzie gra faraona lub stosa? kto będzie trzymał bank? jak wielki? i jakie wypadną którego dnia faworyty? tudzież, czy można będzie grać na fanty? Co do aspektów niebieskich, wymienią się czasy w których słońce łaskawsze dłużej u nas zabawi; dni, w których twarz jego będzie wypogodzona, a w których posępna i złego humoru; tudzież, kiedy muszkami, czyli, jak astronomowie mówią, plamami pokryta. Toż samo się uczyni i względem księżycy, który czasem nie daje się widzieć (NB. nim mu rogi urosną), czasem ma twarz pełną jak nasze darmojadły lub pieczeniarze; a czasem jest z wielkimi rogami. To wszystko zaś, dla wytknienia nieznacznie stosunków, jakie zachodzą między ciałami niebieskimi a ziemskimi.

#### *Powtórę. Na część żółdkową.*

Która zawierać będzie dwa poddziały mniejsze, to jest: część pożywną albo pokarmową, i napojową, czyli trunkową. Pod tą rubryką będzie sama erudycja; czyli opisanie topograficzne, architektoniczne, żółdkowe i ekonomiczne rozmaitych jadalni, jakoto: traktyerni, restauracyj, rursów, garkuchni, cukierni, kawiarni, winiarni rozmaitych, i różnej rangi szynkowni, zaczynając od angielskiego lub dubeltowego piwa, aż do prostej kotłówki. A to dla tego: aby każdy stan znalazł dla siebie rozweselenie lub zabawę i żeby

wiedział, gdzie się udać w potrzebie lub strapieniu. Tu, wyszczególnią się osobne zalety każdego miejsca i da się ich plan litografowany, z obrazem rodowitego herbu, jaki się zwykł wywieszać na drzwiach lub na oknie. Dla tym większej zaś ozdoby i zupełności dzieła, umieszczać się będą przy każdym miejscu w szczególności ryciny gospodarza lub gospodyni, tudzież znakomitych praktykantów, z twarzami i nosami illuminowanymi tak, jak są w naturze. Dla zapelnienia zaś tej części i uradowania miłośników, opiszą się żywoty niektórych sławnych bibosów, żarłoków i pieczeniarzy; da się należyta i uczona wiadomość o gatunkach win, ich nazwiskach i przydomkach, z wymienieniem cen w każdej w szczególności winiarni. A nadewszystko, da się uczona i gruntowna rozprawa o śniadaniach adwokackich i kancelaryjskich, które są, jak wiadomo uczonęj publiczności naszej, duszą każdego interesu, przemową do każdego dzieła, i tak nieodbitcie do każdej sprawy potrzebne, jak smarowidło do pojazdu.

#### *Potrzenie. Na część naukową.*

Ta się znowu podzieli na nauki dokładne i sztuki nadobne. Do pierwszych, jako nieomylna i bardzo u nas wydoskonalona umiejętność, należeć będzie faraonologia. Prawdziwie zacni uczeni tej klasy zwykli się zgromadzać, jak niegdys mędrce atenscy w akademijach i gimnazjach, które się u nas nazywają salami. W tém miej-

scu, dla zbudowania czytelników, da się rycina każdej sali czyli akademii; opiszę się jej skład i urządzenie wewnętrzne, i przyłączą się portrety znakomitszych akademików, z wyrażeniem, czém się który odznacza.

Jurologia, tak powszechnie ulubiona i wicznie u nas modna umiejętność, zajmie także rozdziałek niemały; gdzie będzie rozprawa o postępach i rozszerzeniu się tej ładnej nauki. Dla piękności dzieła, i tu się wymienia i zlitografują znakomici w tej części mędracy, i da się obszernie opisać ich przykładowo żywota.

Kruczkologia, umiejętność bardzo korzystna i pewna; niedawno wprowadziona, ale dzień w dzień olbrzymim postępująca krokiem.

Gapiologia, której publiczne kursa odbywają się w lecie przed ratuszem, na rozmaitych spacerach, lub w ogrodach; a w zimie na teatrze, maskaradach i redutach; a do której piękna młodzież wielką pokazuje skłonność.

Do sztuk nadobnych należeć będą: koncepta i obroty sejmikowe, nowe wynalazki urzędników sprawnych po powiatach, równie jak eksdywizorów i dłużników, tudzież cuda magnetyczne. W tej rubryce, umieszczać się będą rozprawy wslawionych i doświadczonych mędrców: o sumieniu najętych świadków, sztuce naśladowania dokumentów i obligów, tudzież o wynalezionej niedawno w pewnym księztwie sztuce fabrykowania i szczepienia kopców granicznych.

Najistotniej zaś do nadobnych sztuk należeć będzie literatura i recenzja niektórych dzieł, ale tylko szczytnych. Tu znowu tuzinkowi literaci nasi podzielią się na rozmaite klasy, podług ich użytku. Któż albowiem z odczytanych czytelników nie wie: iż jedni są na sen, drudzy na poruszenie żółci, inni na poty, a niektórzy nawet na womity; chociaż dotąd, co jest rzecz dziwna, żaden nasz lekarz o uzyciu ich w medycynie nie pomyslił.

Do naukowej należeć będzie i część historyczna, w której się opiszą rozmaite anekdoty, zdarzone tak w mieście jako i na wsi. Naprzykład: przypadki młodych paniczów, którzy się zgrali; panienek, które z domu uciekły; starych pań, co się rozwodzą lub idą za mąż; i wyjazdy za granicę, z wyrażeniem czy do Paryża, czy tylko dla zdrowia. A że wyjazd dla zdrowia dwojako się uważać może, dla tego, że jedni jadą tracić zdrowie, a drudzy szukać zgubionego; więc się zawsze doda: że np. taki a taki Jegomość wywiózł za granicę pieniądze i zdrowie, a taka lub taka Jejmość pojechała zobaczyć, azali ich gdzie nie znajdzie.

Do części historycznej należeć będzie i opisanie wszystkich separacyj i rozwodów, z doniesieniem wiele który kosztował.

*Poczwarte nakoniec, Część sentymentalna.*

Obejmie wiadomość o ładnych i gustownych ekwipażach, o nowo z Francji przybyłych gu-  
VI. Dzieła Jęd. Sniad. 11

wernerach i guwernantkach; o modach i modniarkach; o ubiorach i strojach, o meblach paryzkich i londyńskich. A zakończy się cały kalendarz białemi welinowemi kartkami z amorkami lub motylkami na wierzchu. Tu, każda tkliwa dusza, w momentach rozrzewnienia i czułych zachwyceń, bądź myśli swoje radośnie, bądź żale i jęki, różowym lub czarnym atramentem własną rączką zapisywać może, jako drogą puściznę dla córek lub przyjaciółek od serca. Nad takimi kartkami wysztychują się ulatające amorki, dla odniesienia na przeznaczone miejsce każdego czułego westchnienia. Tam, gdzie poważni literaci mają zapisywać nowe myśli, do wielkich dzieł służyć kiedyś mające, wybija się na wierzchu wózki z zaprzężonemi motylkami, dla przewiezienia tego ładunku do potomności. Gdzie zaś mają zapisywać coś młode panięta, będzie u góry wierzgający koziołek z nadstawionemi rogami.

Spiesz się więc, Prześwietna publiczności, i nies prenumeratę do redakcyi pism periodycznych.

Dan na Zamkowej górze dnia 1. grudnia 1821 roku.

(podpisano) *Bogumił Aquafoutis,*  
*herbu Łopata.*

## §. 2.

### *Lament i rapport szlachcica na łopacie.*

Co to ma znaczyć, Mości Panowie czytelnicy i szanowne Czytelnice Dobrodziejki, że po ogłoszeniu dnia 17. grudnia roku przeszłego prenumeraty na najpiękniejszy kalendarzyk w świecie, nikt a nikt nań nie prenumerował? Czy u was tak pusto w kieszeni czy gdzie indziej? — Ja, jako poczciwy szlachcic, założyłem sobie, jedynie przez gorliwość obywatelską, wziąć po sześć rubelków za exemplarz i chciałem szczerze, bez najmniejszego interesu, przysłużyć się uczonemu światu naszemu. A ten świat (proszę, co za grubijaństwo!) ani się odezwał; ani mi nawet w Kuryerze za moję gorliwość nie podziękował. Cóżem ja temu winien, że kręcąc się i szastając to tu, to ówdzie; to po starym, to po nowym świecie, nie mogłem się znajdować na ostatnich sejmikach? — Ta sama gorliwość, która teraz mną powoduje, byłaby mię zaprowadziła na jaki urzędzik szlachecki, na którym zasłużyłbym niewątpliwie na pochwałę współobywateli, a może i na co więcej. Gdybym, na przykład, był został jakim znakomitym sędzią, tobym kalendarza nie pisał; bo gdzież tam sędziemu czytać i pisać? — Alebym za to wstawał dostojnie o godzinie dziewiątej; obwinałbym się zamaszysto w wielki tu-

recki szlafrok, a ziewając i przeciągając się na środku pokoju, kazałbym sobie podać lulkę z długim cybuchem. Naówczas, kiedy lokaj czy pokojowiec, dla przeprowadzenia bez szwanku znakomitę fajki, drzwi jak szeroko otworzyć musi; kiwnąłbym głową stojącej w przedpokoju holocie. A gdybym wśród motłochu, cisnącego się do przybytku Temidy, postrzegł jakąś osobę, u której jasno na piersiach albo w kieszeni; powitałbym ją uprzejmie, zaprosił do pokoju i na kanapie posadził. Za to chwalonoby mnie z przystepności i wyrozumiałości obywatelskiej, i zostałbym zasłużonym, a zatem i poważanym człowiekiem. Teraz, kiedy latając i tłukąc się po świecie o własnym chlebie, bo dalibóg bez najmniejszego publicznego wsparcia; kiedy pędząc się a pędząc nibyto za rozumem, podróżując w najszlachetniejszym i ostatniej mody zamiarze, bo dla poznania ludzi\*); kiedy, mówię, po takich przedsięwzięciach i trudach chciałem się z wami, Panowie Czytelnicy, mojami zdobyczami literackimi podzielić, chciałem was przecie oświecać jak należy... Wy uciekacie ode mnie! Wy mojej nauki nie chcecie! Wyście nieciekawi, jaka filozofia i mądrość w głębi Afryki, w Nowej Holandy!... A!.. już téż tego nadto!

\* ) Nasza oświecona młodzież zawsze po to za granicę jeździ, bo u nas zna się tylko z koźmi, psami, hartami i półczem.

Gdybym ja z podobnym oświadczeniem wystąpił w jakimkolwiek innym kraju uczonym, gdzie przecie umieją cenić talenta; ani wątpię, żebym miał jakie dziesięć tysięcy prenumeratorów. Chwalonoby mnie zaraz i wielbiono po wszystkich a wszystkich pismach publicznych, dziwiąc się moją odwadze i nauce. Ot to człowiek, mówionoby i pisanoby! — Tacy ludzie tylko w naszym kraju się rodzą! — Myto! my jedni umiemy wszystko, a wszystko najlepiej! — Coto za głowa nadzwyczajna! Kalendarz encyklopedyczny! — Kurs encyklopedyi Afrykańskiej i Australskiej; a do tego kurs empiryczny! — Dalibóg napiszemy o tém przynajmniej sześćdziesiąt woluminów in 4to; a wy zagraniczni lajcy przychodźcie i ucicie się. Otożto w takim kraju, Mości Panowie i Panie Miłościwe, aż miło mieć rozum! aż miło pisać! — Człowiek samém piórem i żyje i tyje. A u nasże co? — Prawda, ja nie przeczę, można i u nas żyć z pióra; owszem można milioników nabierać; ale to niełatwo, nie każdemu się uda, na to trzeba szczęścia; trzeba zostać opiekunem, plenipotentem, sekretarzem, a przynajmniej regentem, i pisać z węgierska popolsku, a ja tego nie umiem. Nie biednéjto szlachcie zdobyć się na taką naukę! Inaczéj cóż? — Ot, trzeba chyba książki rozdawać darmo, a za czytanie płacić. Gdybym ja np. był obwieścił, że każdy prenumerujący dostanie exemplarz i sześć rubli — to cale insza materya, inny obrot rzeczy. Naówczas byłoby prenumeratorów bez końca, i żadne pi-



smo, w żadnym a żadnym kraju, nie miałyby takiego odbytu. Ale zkadże się mnie biednemu szlachcicowi zdobyć na taki expens!

Tak rozmyślając i żaląc się w duszy, wyzczyściłem nieznacznie łopatę, wdziałem moje wytarte baranki, a dla rozweselenia serca i rozbicia myśli strapionych, puściłem się na powietrze i już bując, jak orzeł, począłem, kiedy mi przecie przyszła myśl zastanowić się, w którą polecę stronę i po co. Nie śmięj się, Czytelniku i wybac; zrobiłem to zwyczajnie po autorsku: bo my najpierw zaczynamy pisać, a potem myślimy, o czém — a dlatego piszemy dobrze. Więc ja zadumany, takem sobie rozbiarał rzecz w głowie. Podobno teraz wieczór, a wieczory jeszcze dosyć długie. Wstępujemy, kochana łopato, do rozmaitych pałaców, dworów, domów i miejsc publicznych; zobaczymy, czém też teraz ziomkowie moi zajęci? czego się uczą? czém bawią? — Zapewne po ułatwieniu zatrudnień dziennych, po odbyciu prac urzędowych lub gospodarskich, zgromadzone rodziny, przyjaciele i przyjaciółki, poufali, czytają gazety, dzienniki, rozmaite peryodyczne druki, nowe wyszłe z pod prasy dzieła uczone, i udzielają sobie nawzajem postrzeżeń swoich i uwag. To inaczej być nie może. Przecież w oświeconym i piśmiennym żyjemy wieku. Wszyscy teraz czytają; wszyscy się uczą; a wielu oświeca i pisze. Zapewne z pozwolenia uczonych zastaniemy ślęczących w gabinetach nad ważnemi pracami, które literaturę

wzbogacą, nauki wspomogą i pomnożą. Ruszajmy!

Ledwom to wyrzekł; kiedy moja łopata, która niewątpliwie ma zmysły i ludzką pojętność, która nie tylko mowę moję rozumieć, ale nawet, kiedy na niej siedzę, myśli przenika i jest wyraźnie w mistycznym ze mną stosunku; która, słowem, nie uwierzysz Czytelniku, jak jest sprytna i przenikliwa lichy; receptyby nawet pisała, żeby ją tylko ktoś poduczył; kiedy, mówię, moja łopata zaczęła się nieznacznie spuszczać w jakiś wązki komin i wkrótce postawiła mię cicho, bez najmniejszego hałasu, w pokoju, który wzięłem za literacką pracownią. Dowodziły tego albowiem i szafy założone dosyć zapyłonemi książkami, i stół pelen papierów i pootwieranych woluminów. Na środku izby stał stolik, a na nim dwie świece; około stolika siedziało czterech mędrców, a z boku młoda niewiasta, przypatrująca się i trzymająca szczypce w ręku. Zatrzymałem się rozumiejąc, iż co ciekawego usłyszę. Cichość była wielka. W tém jeden z zasiadających uderzył ręką w stół i zawołał à tout — na to słowo, drugi mędrzec uchwycił się za łysinę, westelnał, a potem z wielkim gniewem wyrwał kartę z lewej ręki i rzucił na środek. Wkrótce potem walezący rycerze złożyli broń; a zwycięzca, ten sam, który się wprzód był odezwał, zawołał quatre levées. Na to nastąpił śmiech dwóch naprzeciw siebie siedzących, a wymówki i łajanie się dwóch drugich. Ja tymczasem, korzystając z niewidzialno-

ści, zbliżyłem się pocichu do stołu i zacząłem przeglądać książki; ale widząc, że są wszystkie w obcych językach, a między nimi ani śladu naszych pism peryodycznych; pomyślałem sobie, że łopata zbłądziła, i dałem jej poznać, że chcę jechać dalej. Jakoż anim postrzegł, jak mię wyniosła na powietrze. Straciłem zupełnie kierunek i sam nie pamiętam, gdzie mię powiozła. To tylko wiem, żeśmy się znowu spuszczać zaczęli, a ja ujrzałem się w pięknym i strojnym pokoju, gdzie, jakem potem poznał, gospodarz siedział przy stoliku, mając przed sobą stós druków rozmaitej postaci. Trzech innych mężczyzn stało zamysłonych przed nim, a dwóch się przechodziło po pokoju. Wszyscy zaś razem zwawą byli zajęci rozmową. Tuśmy, pomyślałem ścisnąwszy łopate, dobrze trafili, tu czytają i czytają peryodyczne pisma. Przysłuchując się wszakże rozmowie, która raz była po francusku, drugi raz z francuska popolsku, postrzegłem natychmiast, iż rozprawiano o gazetach, i że to były jedyne peryodyczne pisma, które w tym domu czytano. Poznałem wkrótce i to, iż między gospodarzem a przybyłymi gośćmi zwawa zaszła sprzeczka, o wzięcie lub niewzięcie pewnej warowni tureckiej. „Ale jakże, odezwał się jeden z gości, kiedy to jest w dzisiejszym Kuryerze; proszę zobaczyć!“ i rzucił się natychmiast do druków leżących na stole. Próżno WPan szukasz, odpowiedział gospodarz, ja Kuryera nie trzymam, ale kiedy chcesz, poszlij do mego kommisarza. Ja wiem, że tego

nie ma ani w Hamburgskiej gazecie, ani w żadnej zagranicznej, i to dosyć. — Uciekajmy, szepnąłem do mojej łopaty. Kuryer jest widzę gazetą najniższego rzędu. Czy oszalał redaktor pisać ją popolsku! — Nie — i tuby na mój kalendarz nie prenumerowano.

Wyniosła mię więc moja nosicielka znowu nieznacznie i w mgnieniu oka ujrzałem się, sam nie wiem jak, wpośród kompanii graców. Rozgniewało mię to cokolwiek, i takem się z cicha odezwał: Moja łopata, pocoś mię tu przyniosła? Gracze nigdy nie czytają, bo nie mają czasu, a ja nie mam co przegrać. Zniknęło więc jak sen to zgromadzenie przede mną i postrzegłem wkrótce, iż już na nowém jestem miejscu. Byłto pokój niewielki i mocno napalony. Przy ścianie widziałem stół zielonem suknem pokryty, a na nim leżało kilkadziesiąt plik papierów i stara jakaś księga in folio. Przed kanapą stał stolik, a na stoliku ogromna waza; z niej wznosiła się dusząca para, która wypełniała cały pokój zapachem rumu; około wazy było kilka szklanek, które siedzący na kanapie troskliwie nalewał. Postać zaś zgromadzenia była rozmaita. Jedni rozwaleni na kanapie lub na krzesłach i w głębokich pogrążeni myślach, ocierali w ciężkim znoju kurczące się czoła i łysini, lub z głębi serca wdychali. Inni, z rozpaczy widać, siedzieli na stołkach całkiem na bakier i w pół obwisli, a inni przechodzili się po pokoju, i kiedy niekiedy zatrzymywali przed stolikiem, dla po-

ciągnięcia napoju. — Ja stanąłem cicho w kąci-  
 ciku, słuchając i uważając pilnie, o co rzecz  
 idzie. — „Ale *tandem* cóż będzie, moi Panowie?  
 „na czém staniemy?“ odezwał się nalewający  
 szklanki. Co będzie? zawołał jeden z siedzących  
 na bakier, trzeba oświadczyć ekshdywizyą, ja nie  
 widzę innego ratunku; — a majątek okryjemy za-  
 pisami żony. — Jakto? odezwał się rozwalony na  
 krzesle, kiedy zapisy późniejsze! Wstydź się  
 WPan takiego zarzutu, odpowiedział pierwszy,  
 albowich nie potrafimy antydatować? — Spuście  
 się WPanowie na mnie; ja to potrafię z regien-  
 tem. Albożto u nas takie się bagatele robią?  
 Pokażcie mi drugi powiat taki; my umiemy i de-  
 kreta w protokołach przerabiać, i obliży w po-  
 trzebie improwizować. Oh! nasze w tém głowy! —  
 Naturalnie, będzie to kosztowało cokolwiek; ale  
 któż żałuje wydatku tam, gdzie idzie o całą sy-  
 tuacyą?

A przekłeta łopato, odezwałem się w gnie-  
 wie ledwo nie głośno; czyto między takich za-  
 nosisz mię czytelników. — Poprawiła się więc  
 natychmiast; wyniosła mię znowu na powietrze i  
 wkrótce postawiła gdzieś pode drzwiami w sieni.  
 Domyśliłem się przecie, że tu jest mieszkanie,  
 do którego kominem ani okienkiem wkraść się  
 nie można. — Otworzyłem więc drzwi do przed-  
 pokoju, i zastałem czterech służących grających  
 w karty. Porwał się jeden natychmiast i pobiegł  
 ku drzwiom; ale, nie widząc nikogo, zaczął się  
 z zadziwieniem na wszystkie strony oglądać. Co

za djabeł! zawołał wylupiwszy oczy, słyszeliście,  
 wszak ktoś wszedł? Albo co! odezwali się dru-  
 dzy. — Albo co? a toż nikogo nie widać —  
 Przywidziało ci się; rzekł jeden siedzący niepo-  
 ruszenie przy stole. — Oj nie! odezwał się drugi,  
 jest tu w tym domu jakies licha! co noc jaki  
 figiel! Wszak i mnie djabeł na koniach jeździ.  
 A to nic, odpowiedział drugi spokojnie; powieś  
 w stajni srokę!

Ja, nie słuchając téj rozmowy dalej, przy-  
 stąpiłem ku drzwiom do pokoju i zacząłem je  
 cicho otwierać, co mi się dość dobrze udało. —  
 Nie zastałem nikogo w pokoju pierwszym, ale  
 posłyszałem aż w trzecim, który był, jakem po-  
 miarkował potem, Jéjmością *guiewalnią* (bou-  
 doir)\*), dosyć mocny hałas do łajania podobny.  
 Poszedłem tam więc prosto, i zastałem chodzą-  
 cego szybkim krokiem Jegomości, a Jéjmość za-  
 płakaną i rozrzuconą na długim krzesle, jakby  
 od niechcenia. — Na stolikach pełno było ksią-  
 żek i książeczek czule rozsianych; a naprze-  
 ciew Jéjmości otwarty kantorek z rozmaitemi pa-

---

\* ) Nasi mądry ludzie, każde słowo francuskie tłumaczą i ubiegają się w tym zawodzie o niepospolitą chwałę. Otoż i ja biedny kręciel na łopacie, mam zaszczyt ofiarować im słówko z mojego warstata. Jeżeliby miało szczęście przypaść do smaku, będę mógł naklepać więcej podobnych.

piérzami, kałamarzem, dzwonkiem, i innemi sprzętami tego rodzaju.

„Już ją widzę, rzekła Jéjmość ze łkaniem, że WPan chcesz mojej śmierci — Zagryziesz mię tém ustawiczném gdyranim.“

*Jegomość.* Ależ moja Pani, kiedyżto są rzeczy do niezniesienia. WPani nie żyjesz po ludzku. Ubierasz się o czwartéj po południu; jadasz o piątéj albo o szóstéj. Sprowadzasz mi na obiad pełno trzpiotów, albo nieznamomych, albo takich, z którymi bym się rad nie znał. Grasz całą noc i przegrywasz; a całe rano zgryziona, zasępiąca i dręczona od spazmów, zamykasz się z temi szpargałami, na które tyle wychodzi pieniędzy, a których ja nie rozumiem, a może i WPani niewiele.

*Jéjmość.* To cóż? Czyż mi już nawet czytać nie będzie wolno? — Wszak lektura jest całą moją pociechą, całą rozrywką. Cóż ja mam za towarzystwo z WPana?

*Jegomość.* Mniejsza o to. Kupujże WPani przynajmniej takie książki, któreby i ja mógł czytać, to się zabawimy razem. — Ale to same jakieś licha francuskie; z jakimiś obrazkami, które mi się często nie podobają. A potem jakieś żurnale, jakieś francuskie gazety. Na co to potrzebne? — To dla francuzów pisano; a my czytamy nasze krajowe pisma i gazety.

*Jéjmość.* Dobrze. — Czy nie chcesz WPan żebym czytała Kurjera, gazetę warszawską, dzien-

niki, pamiętniki, albo Wiadomości brukowe? — Ja tę literaturę WPanu zostawiam.

*Jegomość.* A jaby ja rad z WPanią dzielił. Oto jeżeli zechcesz, moja duszo, czytywać ze mną, gotów jestem prenumerować wszystkie a wszystkie krajowe pisma. — Naówczas pojedziemy na wieś, bo w mieście teraz życie drogie. Będziemy gospodarzyć, a wieczorami, jeżeli gości nie będzie, będę ci czytał co zechcesz, nawet nowe dzieła i romanse, które w kraju wychodzą.

*Jéjmość.* Wyśmienity sposób znudzenia mię na śmierć. Już proszę WPana, rób sobie co chcesz, ale zostaw przynajmniej moje książki. Ja WPana polskich szpargałów nie rozumiem.

Na to taka mię wzięła złość, że chciałem łopatę o mur potrzaskać. A! niegodziwa psotnico! pomyślałem gniotąc ją w garści, to mię ty do elegantek chcesz nosić! — Co za przekłete licho! — Żeto jak tylko się kończy na *a*, to koniecznie uparta i musi postawić na swoim. Poczekajno! — Nieś mię do innego domu, wreszcie do innéj kobiety, ale gdzie nasze pisma czytają. Lecz przejrę wprzód pootwierane książki i papiéry. Tu muszą być rzeczy ciekawe.

Rzuciłem się chciwie do stolika, porwałem za pierwszą otwartą i czytana naówczas książkę i postrzegłem *Sydonie*. — Faj do licha! to jakiś romans! — Więc cap za drugą we dwóch tomach ładnie oprawnych i znalazłem *Wertherie, roman sentimental*. To jeszcze lepiéj! — Dalej: *Les*



*mystères d'Udolphe* sześć tomów. *La forêt ou l'Abbaye de St. Claire*. — A kiedyż się to skończy! — Rzuciłem więc stolik, a poszedłem do kantorka. I tu jakaś książka otwarta. Patrząc. *Lalla Roukh!* — A toż znowu co za cudo! — Musi i to być romans.

Spojrzawszy na papiéry, widziałem kilka paczek biletów powiązanych wstążeczkami rozmaitego koloru. Już chciałem pochwycić za jeden, ale sobie przypomniał, że to niepięknie i niegodziwie przeglądać cudze papiéry. Więc dałem znać łopacie, żeby mię zład wyniosła, co się i stało natychmiast.

O szczęśliwe francuzy! myślałem sobie, oglądając z obłoków na pokryte nocnym płaszczem marności i sprośności światowe. Wam co tylko się z pióra wysliznie, wszystko dobre, wszystko ładne; wszystko u nas pokupne, chwytane, wielbione! O szczęśliwe brednie i fraszki! — Nasz literat, chudy czy tłusty, żartobliwy czy mędrzec głęboki, choćby się dzień i noc pocił przy stoliku zgarbiony i na łokciach oparty; choćby zjadł całą ludzką mądrość i wylał na papier; choćby ją nieporównanym okrasił stylem: nikt go nie przeczyta, nikt nie kupi — owszem nikt nie wydrukuje, jeżeli przy najlepszym zapasie w głowie, pusto u Jegomości w kieszeni. Napiszesz co u nas, to wydrukuj własnym kosztem, opraw i przyjaciołom rozdaj; lub panom, poczekawszy wprzód z godzinkę w sieni, z przyzwoitą ofiaruj

uniżonością. — I cóż z tego? — Oto wezmą, ohejrzą oprawę, i tytuł zobaczą, a potem położwszy na stoliku, lub pokojowcowi oddawszy, odezwąć się laskawie raczą: „Dobrze, że też „przecie i u nas coś piszą. Tylko, że to! — „tyle jest rzeczy, których w naszym języku wyrazić niepodobna. A potem,“ (d. c. p.).

## Koniec rapportu szlachcica na łopacie.

Byłbym może daleko zabrnął w myśli i krytyczne uwagi, gdybym nie był posłyszał mocnego pod sobą wrzasku, podobnego do głosu kobiety. Łopata albowiem krążyła ponad dachem i już się spuszczać miała przez komin, z którego głos ów wychodził; ale ja postrzegłszy ogień na dole, gwałtem ją skierowałem na bok. Ciekawość mię wprawdzie zdjęła, poznać przyczynę takowego krzyku; ale nie mogąc przez komin, myślałem którądyby się dostać do owego domu. Wtém otworzyło się nagle i z trzaskiem okno, przez które wcisnąłem się natychmiast, ale tak: żem o włos nie zawadził o samą aktorkę, która drżące i oniemiałe sługi donośnym napominała głosem, że dym zastała w pokoju. Otóżto tak! — mówiła rozdasana Jéjmość — wychylić cię z domu na moment nie można!... Przepalony piec!... pełno

drew na kominie... a teraz drwa drogie. Ah! ja nieszczęśliwa!... a toż co?... Któżto zbił mój imbryczek? — Kto?... zaraz powiedz, zawołała rzucając się w oczy małej dziewczynie, która stała najbliżej. To... Jęgomość... odpowiedziała napadniona, ze strachem. Co?... Jęgomość! krzyknęła przeraźliwym głosem słodka niewiasta, i jak błyskawica wpadła do drugiego pokoju. Wcisnąłem się więc i ja za nią.

W obszernej dosyć izbie palił się na kominku ogień, a przy kominku stał okrągły stół, książkami i rozmaitemi drukami okryty. Przy stole siedział siwy z poczciwą twarzą staruszek, mający pół arkusza w rękę i zielone okulary na nosie. Huk i trzask, z jakim rozdasana samica wpadła do pokoju, nie poruszyły go bynajmniej. Czytał spokojnie dalej, niezachwiany gęstemi pociskami jadu, jakie na niego miotała.

Czy tak!... to już i moje imbryczki i filiżanki niepewne... Wszystko mi niezabawem wytłuczysz!... Otożto taką mam z ciebie w gospodarstwie pomoc!... Książki!... przekłete książki! bodaj przepadł, kto je wymyślił... Żal się Boże czasu i pieniędzy!... Albożto mało za to wychodzi?... A cóż, nie nie mówisz? — To ja do muru gadam?... Bo tóżto już nadto mojej cierpliwości!.. Dalibóg wszystkie popalę!...

To wyrzekłszy uchwyciła za kilka numerów jakiegoś peryodycznego pismka, i rzuciła całą siłą w komin. Porwał się zaczytany staruszek z krzesła, i ledwo okopcony, owszem już pod-

wędzony, druk uratował. Gdyby nie gębczasty i cokolwiek do bibuły podobny papier, zginałby był nieochybnie. Niechże się więc czytelnicy przestaną skarżyć na podobny w peryodycznych pismach papier. Widzę oczywiście z doświadczenia, że to jest jedyny sposób ochronienia ich od pożaru, a zatem dochowania ich dla potomności; widzę, że się nie omylili przodkowie nasi twierdząc, iż niema złego coby na dobre nie wyszło.

Ochroniwszy więc kawałek literatury naszej od ognia, stanął spokojny ów czytelnik w samym otworze komina, tak że inne dzieła własnem ciałem od pożaru ochronił, wystawując grzbiet na literackie pociski. Jakoż kilku autorów zgrabnie i szczęśliwie użytych boleśnie dotknęło, to grzbietu, to innych ku nim obróconych części. Ale Jójmość widząc, jak ten szturm mało skuteczny, przyskoczyła nagle do męża i wyrwała mu druk, który trzymał w rękę. Ledwo rzuciła nań okiem, gdy z niepojętym zawołała gniewem: Co... Wiadomości brukowe... Ła... ku! to ty paszkwile czytasz?... tak, paszkwile na kobiety, na poczciwych ludzi! — Otoż to mądry człowiek!... Chciałabym ja którego z tych oszczerców dopaść! — Oj!... Ale moja pani, odezwał się staruszek, to niewinna krytyka.

Niewinna! — wołała dalej, tak... niewinna. Oto patrzaj, jak ja takie krytyki szanuję!... To mówiąc poszarpała nieszczęśliwe pisemko na ka-

walki, a rzuciwszy pod nogi, deptać je i lżyć poczęła; a ja wpadłszy nakoniec w niecierpliwość, porzuciłem tę złošnicę w jej gniewie.

Co się tóżto zdawało starym Grekom, pomysłalem sobie odetchnąwszy za oknem, kiedy za coś osobliwego opisywali swoją Sokratesową, z domu Xantyppe<sup>\*)</sup>). Czy oni doprawdy jedną tylko mieli Xantypkę? czy też lubili bazgrać o najmniejszych drobiazgach? — Jabym im takich modelków krocie pokazał, a przecie u nas nikt o tēm nie pisze. Prawda i to, że starzy Grecy byli wielcy bazgracze, a my mamy, chwała Bogu, niepospolitą powściągliwość autorską. Ale, choć się też u nas czasem coś napomknie; to nieznaćcznie, grzecznie, delikatnie, bez osobistych urazy. Ale oni!... gdzież tu prawidła dobrej krytyki — po imieniu wyszydili tak zacną damę!... Fuj! to się nie godzi!... Próżno, rzekłem potem sam do siebie, zaglądać w miejskie kominy. Nie tyle wprawdzie, ileby należało, wszelako w mieście jakkolwiek czytają i piszą; alebym rad widział, co się też dzieje po miasteczkach powiatowych i dworach. Wyniosła się więc domyślna łopata ponad obłoki, a niezbyt długo mię niosąc, spuszczać się nakoniec zaczęła. Czytelnik daruje, że żeglując po powietrzu w nocy i bez magnesowej igły, nie jestem pewien kierunku, i myślę

---

\*) *Madame Socrate née Xantyppe*, musiała ta dama pisywać na wizytowych biletach.

się może sądząc, że się posuwał ku wschodowi. Stałem nakoniec w sądowym miasteczku i wyśladłem w domu drewnianym, w mieszkaniu p. regenta. Niezmordowany urzędnik był wzorem rzadkiej pracowitości. Piastując albowiem adwokacką dostojność, był razem i regentem sądowym, a stawając przez nauczzonego zastępcę, sam w swoich sprawach wzorowe pisał dekreta. Zajęty był naówczas układaniem pozwu o kopy, których przegrywająca a krnąbrna strona nie płaciła, dla tego, iż W. regent, podług niezmiennego swego zwyczaju, naliczył pięć razy tyle, ile prawo wskazuje; ale prawnie, bo za zgodą całego kompletu. Równie były kosztowne i sądowe wyroki, chociaż wielu prostaków, nie znających się na ich wartości, uporcezywie i złośliwie twierdziło, iż dawniej przestawano na szóstęj części tego, od czego W. regent nie mógł odstąpić. Z czego to tylko mojem zdaniem wypada, iż terazniejszy urzędnik od wszystkich poprzedników swoich sześć razy jest lepszy.

Wpółród tej pracy i podczas mojego przeglądania papierów, wszedł W. pisarz i wprowadził lityganta za rękę. Słuchaj, panie regencie, rzekł z miłuchnym uśmiechem, oto byłem teraz u prezydenta i sędziego, bo jutro przypada Jegomością sprawa. Jego przeciwnik ma pieniądze, więc zmiłuj się, niech zapłaci choć półtrzecia raza tyle ile wypada, a nasz poczciwy przyjaciel odstąpi nam połowy. — To powiedziałwszy serdecznie lityganta uściskał. Prócz tego,

pamiętaj regencie, dobrze przeciwnika kopami obłożyć i za dekrecik sobie każ suto zaliczyć. Na kimże się nam obłowić, jeżeli nie na takich Ichmościach. Sędziego zawsze był pewien, a prezydenta jużem przekozał; więc jutro decyzja krótka. Obetniesz go, i cóż nam zrobi?... A co tam w dzisiejszym kuryerze? — Niewiele, odpowiedział regent; są dwa pozwy i trzy ekscydywizyc, bo ja reszty nie czytam. — A toż jaki druk przy Kuryerze? — Wiadomości brukowe, rzekł regent. — Jako? zawołał W. pisarz, albow je WPan czytasz? ktożto takie niegodziwości czyta? wstydz się WPan!... Potwarze na urzędników i ludzi dostojnych. — Prawda! odpowiedział regent; coto za bezczelność, przetrząsać sprawy magistratur sądowych, lub ogłaszać co się dzieje w namowie; kiedy to są rzeczy, o których nikt wiedzieć nie powinien. Ale ja też ani ich, ani nawet Kurjera nie czytam. Naco się to przyda? — A zkądże masz ten szpargal? odezwał się pisarz. — Odebrałem z poczty, rzekł regent, i zaraz odsyłam JWmu N. — Jako!... i on, tak obywatel dostojny, doprawdy czyta? — A cóż WPan poradzisz! Nie on jeden; wszak powiat nasz trzyma całe trzy eksemplarze Wiadomości brukowych; więc, rachując najwięcej po dwóch czytelników na jeden eksemplar, będzie może osób sześć, które u nas czytają. — Faj! do licha! zawołał W. pisarz, wstydzę się za mój powiat. Ale mniejsza o to; tam



gdzie jest do dwóch lub trzech tysięcy szlachty, sześciu głupców nic nie stanowi. Dobra noc, regencie!

Na tém się skończyło wieczorne posiedzenie u W. regenta. Ja zaś zbudowany i przykładną sprawiedliwością i miłością literatury w owym obszernym powiecie, ruszyłem ramionami i posunąłem się dalej. Jeżeli dobrze pamiętam, przeniósła mię łopata na powrót przez Wilno i nosiła po najbliższym powiecie. Obniosła mię więc i po subselliach, i po dworach i po plebaniach, a nawet zaściankach. Krótko mówiąc, zlustrowałem cały powiat od końca do końca, zajrzałem we wszystkie kąty i zbudowałem się niezmiernie. W całym albowiem zamożnym powiecie, nie postrzegłem nigdzie ani Dziennika, ani Tygodnika, ani Wiadomości brukowych, ani książki, ani książeczki, ani żadnej rzeczy tego rodzaju; ale samych różnego a różnego gatunku sędziów, podkomorznych, pisarzów i regentów. Wszędzie po domach pliki szpargałów i porozkładane mappy ze znakami i przypiskami. Oczywisty dowód otwartej i czynnej powiatowej kampanii. Najzamaszystsi w tój walce rycerze siedzieli nad mappami, lub zbutwialemi szpargałami zamyśleni głęboko. Układali plan dekretu, który mieli przyzwoicie nabyć i wytykali granice między rozlicznymi dwówołcznymi lub ośmiodymowemi potencjami. To oczywiście wojenny kraj, a nie literacki, pomyślałem sobie ruszając dalej. Tu się nie darmo rozlewa atrament.

Każda linia, każde zdanie, każdy zapisany szpargałek przynosi intratę. Ale jaką intratę? — pewną, czystą i znakomitą. Tym sposobem przychodzi się do znaczenia, urzędów, przyjaciół i majątku. Sic itur ad astra. — Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać com widział i co mi się przytrafiło w różnych powiatach i w różnych domach, tak prywatnych jako i publicznych. Widziałem rzeczy zadziwiające, rzeczy do zbudowania, a czasem niepodobne do wiary; słowem, widziałem wszystko, oprócz tego czego szukałem w terażniejszej wyprawie, to jest, czytelników i pism publicznych. Wszakże się na to nikt z ziomeków moich nie rozgniewa: bo każdy wie, że nie masz prawidła bez wyjątku. I w rzeczy samój, chociaż znalazłem powiaty, w których wielu jest, co nie wiedzą, że jest na świecie dziennik albo tygodnik, że są dzieje Dobroczynności albo Wiadomości brukowe; chociaż są oświecone krainy, które nie pojmują na co się przyda czytać i pisać, i rzadko dzieciom nawet swoim takimi drobiazgami zaprzatają głowę; wszelako znalazłem w pewnym obszernym i bogatym obwodzie aż trzy eksemplarze Dziennika, a ośm Wiadomości brukowych; co mię naprzód niewypowiedzianie ucieszyło i zbudowało, a z czego po zastanowieniu się niejakiem wniósłem: iż handel i podróże do miast nadmorskich znacznie się do zamilowania nauk przykładają; tudzież, że łatwiej tam o światło gdzie jest trocha pieniędzy. Jakoż zwiedzając dalej krainy poło-

żone nad morzem, przekonałem się najoczywiściej o tój prawdzie ostatniej. Nie najwięcej wprawdzie, ale przecie znalazłem cokolwiek druków, i tak trzymam dla sławy kraju, że je tam czytają.

Pamiętam, jak spuściwszy się do pewnego dworu zastałem trzech obywateli dostojnych i jednego duchownego, siedzących nad Wiadomościami brukowemi i pończykiem, a mocno zajętych decyfrowaniem (jak mówili) numerów 265go i 266go. Spór szedł o znalezienie: kto był ów sędzia grodzki, pierwiastkowo przeznaczony dla W. kommisarzowej na forysia. Pan podkomorzy utrzymywał, że to był jego sąsiad, z którym miał zaciętą sprawę graniczną; a na dowód uśmiechając się półgębkiem namieniał, że on najlepiej zna tajemnicę jego urodzenia, i że „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.“ — Pan starosta upewniał słowem honoru, żeto całe o kim innym mowa; że pan sędzia jest człowiek dobrze urodzony, jak całemu powiatowi wiadomo, i że się sam gotów na jego wywodzie za świadka podpisać. Ze pan sędzia nigdy nie był chłopcem u sprawnika, ani się za piecem wychował, są żyjący dotąd świadkowie, którzy z nim razem w Datnowie do pierwszej klasy chodzili. Prawda, mówił dalej, że potem ze szkoły uciekł, ale nigdy u sprawnika nie służył. A potem, to bardzo dobry sędzia; ja miałem, dzięki Bogu, trzy sprawy w Grodzie i wszystkie z jego łaski wygrałem. Wreszcie, naco daleko szukać? powieść oczywi-

ście obwiniona w bawelnę, a opisany ad vivum nasz sędzia ziemski N. który mię na ostatnich sejmikach przekreskował. Któżby go w tём opisanu nie poznał?

„Wstydź się starosto! zawołał pan rotmistrz, to zupełnie kto inny. Ja całą rzecz decyfruję z zegarka. — Nie o waszymto powiecie mowa. Boto sobie ci panieze tere fere niby o sędzim grodzkim, a wrzeciez samęj o naszym grodzkim przydencie. Mądry to panicz, i na sejmikach mi nie chciał pomagać, i córki za mnie nie wydał; a przecieżem ja wart czegoś lepszego.

„Ha! ha! ha! odezwał się X. pleban, dobrze mówisz panie rotmistrzu, to wielkie oszusty te szubrawcy. Oni zawsze niby o kim innym piszą, a do kogo innego mierzą. Sędzia grodzki! ha! ha! ha! — Właśnie tu idzie o sędziego. Ja was moi Dobrodzieje upewniam, że to ani sędzia, ani prezydent. Ho! ho! mam ja dobry węch na takie rzeczy. To mowa o naszym dziekanie, co zawsze u sprawnika przesiaduje. Uważcie!... ale cyt!... dobrze mu tak! — Jak sobie pościelesz tak się wypisz. Nie opisuj, nie będziesz opisanym. A zaco mię Jegomość za każdą wizytą do biskupa opisuje? Ot masz za swoje.

*Starosta.* Ot to przywidzenie! — Co sędzia, to nie dziekan.

*X. Pleban.* A ja WPanu mówię, że to dziekan. Ho!... wiem ja co mówię.

*Starosta.* A jażto w czoło bity?

Widząc ja, że się na długą zanosi dysputę i że już czas myśleć o noclegu, opuściłem tę literacką kompanią. — Miły Boże, pomyślałem sobie, jakto człowiek w każdej rzeczy siebie tylko i swój interes widzi. Każdy z tych Ichmościów widzi w opisanym sędzim osobę, do której ma urazę, kiedy autor zapewne o żadnym z nich nie myślał. Coto za śmieszne wyobrażenie o pismach krytycznych, że te, opisując wady i ułomności człowieka, zawsze mają kogoś na widoku, i nie ogólne obrazy, ale malują portrety. Cóż winny Wiadomości brukowe, że jakiś złośliwy człowiek, w szpetnym obrazie występku, widzi portret nienawistnej sobie osoby? Nie pismo wykracza, ale ten co źle tłumaczy i złośliwie do kogoś stosuje. A jeżeli czasem w odmalowanym obrazie ktoś sam siebie widzi, to także jego wina. Jeżeli jest bez winy, więc źle do siebie stosuje; jeżeli występny, niech się w piersi uderzy i poprawi. Wady ludzkie należą do ludzi w powszechności, a poprawa tylko do ludzi wyższych i prawdziwie uwielbienia godnych.

Filozoficzny próżniak wileński warszawskiemu Świstkowi zdrowia, spokojnego snu i smacznego apetytu.

*Najukochańszy i wielce szacowny kollego!*

Co to ma znaczyć, że tak dawno najmniejszej nie dajesz o sobie wiadomości? Czy cię Warszawianie zamęczyli? czy do turmy zaparli? Czy ci jakie wolne towarzystwo gębę zamurowało? Prawdziwie zgadnąć nie mogę. A przecież, wielki mistrz Mruczajło poruczył ci, ażebyś wszystkie akta akademii smorgońskiej i innych z nią spokrewnionych, ażebyś wszystkie postanowienia Najciemniejszej kapituły, drukiem ogłaszał. A ty śpisz Świstku! Akademia smorgońska, pacanowska i kompania, pracują a pracują nad wygąszeniem światła, a rozszerzeniem nocy i najgrubszej ciemności; coraz nowych zaciągają członków; rozdają stopnie, dostojności i ordery; ciebie nawet w Warszawie najokazał-

szymi urzędnikami swoimi otaczają; ci drukują a drukują; a ty jak zapłacony milczysz. Tyle już było ważnych posiedzeń, tyle promocyj, tyle najciemniejszych postanowień, a publiczność nie wie o niczym. Ja się wprawdzie do cudzych spraw nie mieszam; ale cóż mam robić z kawalkiem świstka, który przypadkiem wpadł w moje ręce. Są to akta smorgońskiego zakonu; ja ich drukować nie myślę, bo to nie moja rzecz; więc ci, jako twoją własność, odsyłam — a tymczasem bądź zdrow.

w Wilnie d. 15 maja 1819.

*Wypis z protokołu Najwyższej kapituły zakonu smorgońskiego.*

*Działo się w Ciemnogrodzie 1 nocy miesiąca gawroniego 1819 roku.*

Posiedzenie 105te w przytomności Najciemniejszego pana; buro-ciemnego lizilapy kanclerza; ministrów i dygnitarzy; tudzież wielkiego koziroga, rektora akademii pacanowskiej i innych arcydostojnych urzędników i członków.

Po przeczytaniu protokołu ostatniej sessyi, Najciemniejszy raczył oświadczyć prawdziwe ukontentowanie niedźwiedzie z tego, iż widzi coraz gorliwsze i bardzo ważne prace, tak niektórych zgromadzeń nazywających się uczonemi

jako i osób prywatnych, piszących i drukujących w górnym zamiarze rozszerzenia ciemności, zabobonu i wszelkiego rodzaju przesądów, które się były tak mocno zachwiały; tudzież osadzenia głupstwa na nieporuszonych zasadach i nieprzystępnych. Po czém Wielki kanclerz zabrał głos, który dla ważności rzeczy wypisujemy co do słowa.

*Najciemniejszy! — Pochmurne zgromadzenie całego zakonu! Stany!*

Dotąd mieliśmy słuszne powody cieszenia się z rozlicznych prac i usiłowań członków, pracujących w chwalebnym i arcykorzystnym zamiarze naszym, na całej ziemskiej przestrzeni, gdzie trwa mowa polska. Ale teraz prawdziwie się chępli możemy, że w samej stolicy królestwa wznosić się zaczynają najsilniejsze filary naszego zakonu. Odzywano się już wprawdzie tu i ówdzie za nami, ale z cicha i nieśmiało, dla szerzącego się coraz bardziej i powszechnie rozsianego światła; ale teraz powstają mężowie, którzy za naszymi zasadami mówić poczynają otwarcie, owszem, którzy mówią tonem nam tylko właściwym, tojest: śmiało, wyniosłe, z doskonałą pewnością i okazaniem przeciwnikom pogardy.

Doświadczenie pokazało, Najciemniejszy, iż chcąc skutecznie rozszerzać ciemnotę i przesady trzeba mówić w imieniu oświecenia i językiem używanym od jego apostołów i przyjaciół, trzeba wszędzie przytaczać obserwacye i doświadczenia;



bo któż nam te zbić i obalić potrafi. Nie dość na tém: trzeba przeciwników naszych nazywać nieukami i ludźmi bez doświadczenia, trzeba zawsze mieć na języku logikę, filozofiją, moralność, i chcąc upowszechnić zaćmienie, ciągle mówić o świetle. Najgorliwsi téż przyjaciele nasi tego się chwycili srodka, takim mówią językiem, takim tchną duchem. Oto, Najciemniejszy, książeczka w niebieski papier oprawna i co miesiąc wychodząca w stolicy, która wprawdzie do nieprzyjaznych nam tworów należy, ale która pomimo tego sprzyja nam od niechcenia czasami. Widzisz, Najciemniejszy, numer czwarty teraz bieżącego roku, który od 435tej aż do 450tej stroniczy zawiera najulubieńsze, najdroższe i najciekawsze pisemko, jakie tylko gdziekolwiek i kiedykolwiek z pod prasy przyjaciół naszych wyjść mogło. Umieszczono je w tej książeczce *na poważne żądanie*; a jego nieoszacowanym twórcą jest człowiek zagraniczny *doktor Baba*. Według własnego jego wyznania, wielki ten człowiek 65 już lat dla nas pracuje i zbiera; na siedmiu ćwiartkach nieprzebrane skarby umieścił<sup>\*)</sup>, a tak wiele obiecał, że jeżeli nam choć połowy dotrzyma, jeżeli te niestrawne płody wycisną się z pod jakiej prasy; autor samym ogromem swoich chorowitych wyrzutów wszystko przywali, przygniecie, zniszczy i zatrze na wieki tak, że nikt więcej przeciwko babom, Anto-

\*) Obacz na końcu. *Plura hic habes.*

skom, magnetystom i tyłu innym dostojnym przyjaciółom naszym głosu podnieść nie zdoła. Prawdziwie serce się rozplywa z radości, patrząc na doskonałą mądrość tego arcy-kapłana naszego. Nie wiedzieliśmy dotąd, Najciemniejszy, jakie mamy w stolicy bogactwa, jakie silne podpory. Dośeby nam kilkunastu takich, żeby cały kraj w Smorgonije zamienić.

Z téj okazyi nie mogę, Najciemniejszy, zamileżeć, że zagranicznym mędrcom winniśmy na téj ziemi najwięcej. Onito chcąc wiecznie doić tę mleczną krowę naszą, sieją a sieją przesady i głupstwa; oni, podnoszących się w kraju przyjaciół światła prosto i jednomyślnie ogłaszają za głupców; oni niebezpiecznych albo podkopują w ciemności i poniżają ile mogą, albo gnębią i walą otwarcie, a to dla utrzymania się przy dawnych zyskach i zaszczytach. Dzięki *osobom poważnym*; za ichto pomocą, za ich opieką te przylotne nietoperze i sowy tak wiele i tak łatwo dokazują. Onito ich sprowadzają, pielęgnują, głaszczą, karmią, odziewają i zdbią. Jest albowiem, Najciemniejszy, na całej Północy powszechny, dawny i nierozzerwany związek sów i puszczyków przylotnych; związek poważny; związek dążący do tego, ażeby tu wieczna panowała cichość i sen nieprzerwany, ażeby nikt rodzący się u nas światła nie widział; lub, gdyby się znalazł zuchwalec, któryby je odkrył i śmiał o nióm mówić, ażeby go ten dzielny związek natychmiast napadł, oplwał, okrzyczał i zniszczył.

Upadłaby wprawdzie cała ta potęga; gdyby jej poważne nie wspierały osoby; gdyby swoich nie poniżali rodaków, i gdyby się nie było wkorzeniło to zdanie powszechne: że kto się rodzi na tej ziemi, oprócz pałaza, do niczego niezdatny. Ale ta gruba męła, po całym rozciągnięciu kraju, jest naszym zbawieniem; wszystkie wyziewy przesądu i głupstwa, które się do jej powiększenia i rozszerzenia przyczyniają, są najmilszą dla nas ofiarą, są najłodszy naszym pokarmem. A któryż wytrysk przegnilego mazużu może pójść w porównanie z nieoszacowaną obroną Babulek. Niestety! doświadczenie pokazało, iż prawdziwie uczeni lekarze nie mało się od dawnego czasu do rozsiania oświaty i zdań dla nas szkodliwych przyczyniali; tak jak oszusty i wszelkiego nazwania szarlatany, byli zawsze i są najmocniejszymi obrońcami, najukochańszymi dziećmi naszymi. Wielki doktor *Baba* dał niecofniony, a dotąd niesłychany wyrok: *nascuntur medici*\*). Czy może być co wyższego, co szczęśliwiej dla nas pomyslanego, co wyrzuczonego wspaniałej! — Co za aforyzm! — *Vivat, vivat novus doctor, qui tam bene parlat!*

Tu wszystkie niedźwiadki z ukontentowania mruzcąc, błogie pozdrowienie powtarzać i łapy lizać poczęły. Kanclerz zaś tak mówił dalej:

Nie umiałbym, Najciemniejszy, wyliczyć wszy-

\*) Zob. Pam. Warsz. N. 4ty. pag. 456.

stkich naukowych zaszczytów tego drogiego pisma. Ale *Magnificus Pacanoviensis* wziął ten obowiązek na siebie i rozkazał radzie swojej akademickiej ułożyć rapport w tej mierze, który złożył w ręce sekretarza.

Tu kanclerz zamilkł, a sekretarz Mysio czytał co następuje:

Tak jest: Najciemniejszy, cała a cała *Antiquissima Pacanoviensis* tego jest zdania, że nie miała medycyna większego koziroga, jak jest *praeclarus Doctor Baba*, który od lat 65 zglębiając wszystkie medycyny systemata, rozciągle o tém napisał postrzeżenia\*) i obiecuje, z niezmierną pociechą naszą, wylać je na świat. Bo jako *ex ungue cognoscitur leo*, tak z przewybornego pisma na obronę *Babulek* łatwo wnieść można, iż *Dominus Doctor*, jako *medicus natus*, a zatem rodzoniuteńki braciszek natchnionych i nalanych artystów, całą publiczność uraczy skarbem najczystszej smorgońskiej mądrości. Jakoż widać, że w naszym duchu i naszym sposobem te systemata zglębiał, kiedy się przekonał: iż *Brown* może być najpewniejszym w medycynie przewodnikiem; oprócz chorób jakichś *waporycznych*\*\*), które między stenicznymi błędnie u-

\*) Ob. pag. 446.

\*\* Daj mu Boże zdrowie; bo w tym wyrazie od Francuzów wziętym jest prawdziwy smorgoński dowcip.

mieścił<sup>\*)</sup>). Kiedy sam o sobie sapientissime, skromnie i chwalebnie powiada, iż może być arbitrem między leczącymi płci obojg<sup>\*\*)</sup>). Kiedy ma opisać dwie sławne kuracze swojego kolegi Antośka<sup>\*\*\*)</sup>, i kiedy myśli dać poznać światu i innych podobnej sławy ludzi, jakoto *Mitruka* i hiczownika *Tartarzyna*. Kiedy ma objawić czy opisać cudowną wodę *Pociejowską* i *Fönkönpinga* w Sztokolmie. A nadewszystko, kiedy nam ma donieść o cudach magnetyzmu, boskiego wynalazku<sup>†)</sup>, o szóstym waporycznym zmyśle, który przynosi w krainy duchów niewidzialnych i niepojętych<sup>††)</sup>, a który swego czasu użytym będzie, jako powszechny środek leczenia wszystkich chorób — *Vivat* nasz mędrzec! zawołały wszystkie kozy i niedźwiedzie — Ha! ha! ha! — Ot to prawdziwie niesłychana mądrość i nauka! — Precz

\*) Pag. 446. Jeżeli wyraz *waporyczny* ma coś znaczyć? to znaczy to samo, co *histeryczny* albo *spazmodyczny*. Z tego widać, jak doskonale *Browna* czytał i rozumiał, twierząc, że on te choroby do *stenicznych* policzył. Jaka słodka smorgońska mądrość! Oh! niech Pamiętnik dla swojej sławy tak doskonale pisma drukuje.

\*\*\*) Ob. pag. 446 — 447.

\*\*\*\*) *ibid.*

†) Ob. pag. 448.

††) Autor, jako tęgi smorgonista, zapewne wyda mapy tych krain.

cała medycyna! — *Vivat* koziróg nad wszystkie kozirogi! — *Vivat!*

Gdy się ta radośna wrzawa skończyła, sekretarz tak czytał dalej:

Z samego zaś pisma *Domini Doctoris Baba* widać oczywiście: że jak prawdziwie po smorgońsku rozumie wszystkie w medycynie systemata i pisma uczonych: tak po smorgońsku rozumiał i pismo w Wiadomościach Brukowych, które, jako nam nieprzyjazne, zbija arcy-kozim sposobem; tak po smorgońsku opisał zdarzenie u *Hufelanda*. Bo w tej prześlicznej anekdocie nie tylko *człowieka zapierzonego*<sup>\*)</sup> (Boże mu odpuść) zrobił niesłychanym dudą, ale samego *Hufelanda* jeszcze większym, nadając mu głęboką swoją mądrość, a to w prześlicznym patologicznym tłumaczeniu chorób *waporycznych*. Na tłumaczenie to powiedzieliby nieprzyjaciele nasi: *risum teneatis amici*; ale my z uszanowaniem schylamy głowy i uszy. Dobrze wszelako i dla nas i dla nieoszacowanego naszego doktora, że *Hufeland* tłumaczenia tego czytać nie będzie. Widzisz tedy, Najciemniejszy, jak są wielkie zasługi w zakonie naszym kochanego obrońcy *Babulek*; a zatem cała akademija prosi nie tylko o przyzwoitą dla niego nagrodę, ale nawet o umieszczenie w najpoważniejszém gronie mędrców swoich.

\*) Ob. pag. 439 wiersz 22. —



Na co Najciemniejszy mistrz Mruczajło głową kiwnąć raczył, i przez sekretarza następujący wyrok ogłosić kazał.

„Wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy, czynimy wiadomo, iż gdy wielki a najukochańszy nasz Doktor Baba, przez pisemko w czwartym numerze Pamiętnika ogłoszone, znakomitą zakonowi naszemu smorgońskiemu i pacanowskiej akademii uczynił przysługę, i przez pisma przyrzeczone jeszcze daleko większe czynić zamysła; przeto my, przez wzgląd na nieporównane jego talenta i zasługi, stanowimy co następuje.

Art. 1. Doktor Baba mianuje się komandorem orderu Niedźwiadka i kawalerem pacanowskiej kozy.

Art. 2. Przy akademii naszej pacanowskiej naznaczamy go Dziekanem *facultatis medicae*, podług 3go punktu artykułu 7go ustaw téjże akademii.

Art. 3. Członkami tego fakultetu, pod prezydencją arcy-koziroga *Doktora Baby*, będą: Augustynek, Pawełek, Antosiek nowogrodzki; Antoni zaniemeński, Mitruk i Tatarzyn Biczownik, który razem będzie nauczycielem gymnastyki; tudzież dwanaście bab wyboru samego koziroga prezesa, jako doskonałego znawcy.

Art. 4. Dla znakomitych zasług i drżących ręki, uwalnia się Koziróg *Baba* od kucia pacanowskiej kozy.

natomiast założy na rynku pacanowskim swój *bakiet Mesmerowski* i nie tylko kozy, ale wszelakie inne bydło rogate i nierogate magnetyzować będzie. A skoro im nada szósty zmysł magnetyczny, leczyć będzie wszelkie a wszelkie choroby. NB. Tylko w naszych zwolennikach, boby się może na innych te kuracje nie udały.

Art. 5. Co do ozdób zewnętrznych i oznaków godności, nie tylko będzie nosił skórę niedźwiedzią i podług artykułu 5 statutu czapkę wyobrażającą niedźwiedzią głowę, a to bez najmniejszej krzywdy znakomitych jego uszów; ale nadto, jako *Pyronista*\*), który widział *12letniego* chłopca czytającego palcami i końcem nosa, a piętami patrzącego przez okno, nosić będzie lorynetki na piętach, okulary na wszystkich palcach, a na końcu nosa teleskop. Dla zachowania zaś i nie zapruszenia tego oka, wstrzyma się od zazywania tabaki. —

Art. 6. Do tych ozdób, na znak szczególnych względów naszych, przyprawi się *Domino Doctori* czubek na głowie.

Art. 7. Redaktorowi Pamiętnika, za umieszczenie pism tak nam przychylnych, oświadczyć wysokie nasze ukontentowanie. Zapewnić, że za powtórne umieszczenie równie dowcipnego płodu,

\*) Zob. pag. 448.



weźmie order Niedźwiadka, a jeżeli nam ciągle sprzyjać zechce, ma otwarte pole do wszelkich smorgońskich promocyj i zaszczytów. *Podpisano jak zwyczajnie.*

**K o n i e c.**



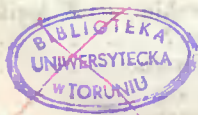
*W drukarni M. Frydlendera w Wrocławiu.*

## **SPIS RZECZY**

w tomie VI.

	Strona
Rozdział XXVIII. Dokończenie wyprawy nocnej	5
— XXIX. Pochwała świątłych ludzi i miast	17
— XXX. Wyprawa na wieś . . . . .	29
— XXXI. Moja historia . . . . .	41
— XXXII. Dokończenie mojej historii	53
<b>Pisma rozmaite szubrawskie.</b>	
<b>Postrzeżenia włóczęgi Gulliwera.</b>	
§. 1. Odezwa do redaktora Brukowych Wiad.	69
§. 2. O wyspie i mowie Kukuryków . . .	75
§. 3. Co się dzieje na wyspie Peroradzie?	85
§. 4. Znowu o Państwie Lapnty . . . . .	89
<b>Zożprawy szubrawskie. — Z logiki:</b>	
I. Co jest rozum? . . . . .	99
II. Pisma peryodyczne . . . . .	111
III. Synonimy . . . . .	122
<b>Z Medycyny. Juromania.</b>	
I. Choroba nie nowa, ale ciężka . . . . .	128
II. Przyczyny choroby . . . . .	138
III. Sposób leczenia . . . . .	143

	Strona
<b>Dziennik ostatnich podróży szlachcica na łopacie</b>	
<b>I. Obwieszczenie . . . . .</b>	<b>153</b>
<b>II. Lament i rapport szlachcica na łopacie</b>	<b>163</b>
<b>Koniec rapportu szlachcica na łopacie . . . .</b>	<b>176</b>
<b>Filozoficzny próżniak wileński warszawskiemu Świstkowi zdrowia . . . . .</b>	<b>187</b>
<b>Wypis z protokołu Najw. Kapituły zakonu smorgońskiego . . . . .</b>	<b>188</b>





Biblioteka Główna ATB  
w Bydgoszczy

57788